№ 6 Warszawa, dnia 30 Stycznia (11 Lutego) 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z PODRÓŻY DO CHIN.

Panie Redaktorze.

Nasza dobra znajoma zakomunikowała nam list pisany do niej pod równikiem, na pokładzie parowca dążącego do Chin po falach oceanu Indyjskiego. List taki, choćby najzwyczajniejszą skreślony ręką, byłby już sam przez się zajmującym, przez wzgląd na tysiące mil jakie przebiegł, na wrażenia jakie wypowiada. O ileż podnosi jego znaczenie myśl, że go kreśliła młoda, pełna odwagi rodaczka nasza, utalentowana artystka, szukająca szczęścia na dalekich krańczynach Wschodu. Posyłamy to pismo Szanownemu Redaktorowi „Tygodnika”, w przekonaniu że udzieli go Czytelniczkom swoim, zarówno jak i późniejszych korespondencyi, których przesyłać nie zaniedbamy w miarę jak nadchodzić tu będą.

Autorka listu panna M. P. kształciła się na śpiewaczkę w Paryżu pod kierunkiem najsłynniejszych mistrzów. Debiutowała w miastach włoskich Reggio i Piasencyi z niemałem powodzeniem.

W jesieni r. z. zaangażowaną została do Opery włoskiej w Schanghaï.

List jej pisany był w połowie drogi, — wysłany z wyspy Ceylon.

Parowiec Amazonka, 18 List. 1881 r.

Już siedmnaście dni jesteśmy na morzu, a mimo to, że wyjeżdżając z Marsylii, aż do Port-Said, to jest do kanału Suezkiego, mieliśmy je bardzo wzburzone, i statek nasz mimo swego ogromu, kołysał się jak łupinka, na tym przestworze wody; ja jestem zachwycona podróżą. A jakież to cudowne jest morze kiedy się znajdujesz na pełnym oceanie, kiedy nic nie widzisz tylko wodę, która cię unosi, niebo zasiane gwiazdami, a woda pokryta taką fosforescencyą, że droga, którą przebiega okręt, na kilkadziesiąt metrów rozciąga się jakby srebrną wstęgą.

Jest to coś tak wielkiego i wspaniałego, że się nie da opisać.

Szczęście wielkie dla mnie, iż nie cierpiałam wcale morskiej choroby, i kiedy moje biedne towarzyszki chorowały w najlepsze, ja śpiewałam im urywki z Lukrecyi i tym sposobem zmuszałam je do uśmiechu. Podróżni bardzo grzeczni, a szczególniej też *la prima donna*, jak mnie tu wszyscy tytułują, jest przedmiotem szczególnych względów.

Na pełnem morzu Czerwonem, ofiarowaliśmy się dać koncert na dochód rozbitków na okrętach francuzkich,—łatwo sobie wyobrazisz, że był dobrze przyjęty. W jednej chwili, pokład zamieniony został w salę koncertową, przybrany flagami rozmaitych kolorów, oświetlony lampionami w różnych barwach. Ubrania nasze dosyć były skromne; moje towarzyszki miały czarne kostiumy, ja długą czarną jedwabną suknię, przystrojoną koronkami i różami.

Program powszechnie się podobał — obsypano nas oklaskami. Śpiewałam pierwszą aryę z *Aidy*, potem duet z barytonem z *Trubadura*, a na zakończenie ostatnią znów aryę z Trubadura, wreszcie *Miserere* z tenorem i chórami.

Komendant nie wiedział jak nam dziękować; ofiarował nam swoją kabinę, gdzieśmy się wszyscy zebrali; sam nas wyprowadzał na estradę i odprowadzał, a po skończonym koncercie, dał nam pyszną kolacyą z szampanem. Panowie przy toastach improwizowali wiersze na cześć naszą. Tańczyliśmy potem do drugiej po północy; podczas kotiliona, każda para zbliżała się kolejno do komendanta i głęboki oddawała mu pokłon. Musieli być wszyscy zadowoleni, skoro dochód dla biednych, wynosił 1,126 franków.

Komendant utrzymywał, że nigdy jeszcze nie było na okręcie tak świetnego koncertu; niemało to pochlebiało naszej miłości własnej.

Kiedyśmy wpłynęli na ocean Indyjski, komendant zażądał drugiego koncertu na nasz wyłączny dochód. Urządził więc salon jeszcze wspanialej jak poprzednio, i także oddał nam swoją kabinę, a że stosunki coraz były serdeczniejsze i z nim i z publicznością, miałyśmy też więcej podniety.

Wypadało nam wystąpić pod świetniejszą powłoką, ubrałyśmy się zatem w jasne suknie, a moja zyskała tyle pochwał, że muszę ją opisać.

Suknia ta z jedwabnej lilla materyi, przybrana cała białemi blądynami i różami do cieniu od bladych do najciemniejszych, bardzo ładnie wyglądała, zwłaszcza przy rzęsistem oświetleniu. Tym razem odśpiewałam całą aryę z *Fausta*, wraz ze śpiewką przy kołowrotku, potem tercet z *Lukrecyi Borgia*, nakoniec duet z *Soffa*. Cudnie piękny ten duet, wzbudził prawdziwy entuzyazm nawet w zimnych i nieczułych Anglikach, którzy niemało nudzą nas swoją sztywną etykietą.

Panowie ze statku wprowadzali nas na estradę a potem ofiarowali szampana. Dochód też mieliśmy ładny.

Jutro dojeżdżamy do portu de Galles, gdzie zatrzymamy się 24 godzin. Komendant wniósł, aby powtórzyć koncert na korzyść naszą; jeźli więc wszystko pójdzie po myśli, jutro zaśpiewamy, a jak Bóg da, tak będzie.

Nie gniewaj się, że tak bazgrzę, ale na pokładzie wszystko się trzęsie, w kabinie zaś taki upał, że wytrzymać niemożna. Ponieważ obecnie znajdujemy się prawie pod równikiem, upały mamy straszne; o godzinie 7-ej rano jest już 31 stopni gorąca. Ja korzystam z kąpieli, które biorę codziennie, naturalnie w wannie, ale woda przychodzi rurami wprost z Oceanu. Kąpiele te bardzo

mi służą. Apetyt mam doskonały; życie tu wyborne, zarówno jak i usługa; spanie tylko bardzo niewygodne a upał straszliwy. Mam nadzieję, że chiński klimat równie będzie mi służył, a zatem wszystko pójdzie dobrze.

Nasza kompania bardzo przyzwoita i zgodna, co ważną jest rzeczą; panienki nasze młode, nie trudnią się plotkami, we wszystkiem zasięgają mojej rady i stosują się do niej chętnie. Mężczyzni widząc mnie zawsze bardzo poważną, otaczają wielkim szacunkiem, to też przekonanie moje, że tej kobiecie tylko można ubliżyć, która tego chce sama, potwierdza się coraz to silniej.

Jednem słowem, dotąd nie mogę się skarżyć na moją podróż, i gdyby nie tęsknota za tem co się zostawiło tak daleko, wszystko byłoby najlepiej. Ale trudno — takie było przeznaczenie moje, więc się musiało spełnić, a co będzie dalej, zobaczymy!...

FRAGMENT.

Tu niebo tak chmurne, tu słońce tak zmienne,
Tak często mgła zwisa nad polem zielonem,
A w mgle tej tak wszystko i nikłe i senne —
Jak bukiet wiośniany, przykryty welonem...

Tak często tu altan wiatr ściany rozplata,
I huczy, i jęczy, jak płaczka przyrody, —
I włosy zielone z drzew zrywa i zmiata,
I rzuca tło smutku na moje ogrody...

I wiatrem rozbita fontanny kaskada
Kołysze się, pryska i na zieleń spada,
Zalewa i kruszy kielichy woniące,
I fontan się łoże faluje i burzy,
I na brzeg wybiega, i w łono ehłodzące —
Wracając — rozdartej unosi trup róży...

A serce tak rwie się — daleko — do słońca,
Gdzie wiecznie skrzą kwiaty, gdzie ptak nie ulata,
Gdzie żyłabym wonią, jak peri błądząca —
Tęsknotą dla siebie, miłością dla świata...

Wyśniłabym sobie ideał świetlany,
Łabędzią bym pieśnią wzbudzała krwi bicie,
Aż wyszedł-by z ciała mój cień rozechwiany
I wszczepił się znowu w przyrodę i życie...

Józef Korwin.

Z PAMIĘTNIKÓW Leonarda Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

I.

FIEDORA.

— Dzięndic, dziedzic nam się narodził! — wołała radośnie pewnego dnia zimowego 18** roku nieboszczka moja babka, przebiegając w stroju gospodarskim — czarnym kożuszku węgierskim, owinięta chustką — od domu starego w którym mieszkali moi rodzice, do nowego, gdzie mieściliśmy się dziadostwo. Było to jakoś w lutym, w dzień świętego Leandra.

Niestety, ów dziedzic, który to pisze, niewiele miał odziedziczyć dobra ziemskiego.

Powyższy okrzyk radosny mojej babki tak żywo tkwi mi w pamięci, jakbym go sam na własne uszy słyszał. Przypominając wiele rzeczy ubiegłych, jestem wprawdzie pewny, że wybornie mi służy jeszcze pamięć o tem, co widziałem i słyszałem, mając nie więcej nad dwa i trzy lata, no, ale urodzenia własnego pamiętać chyba niepodobna. O tem opowiadała mi niewątpliwie stara Fiedora.

Fiedora była to pierwsza moja niańka. Wzrostu drobnego, ale dość okrągła, miała piękne regularne rysy twarzy, przenikliwe czarne oczy i obfite włosy z odcieniem szafirowym, które zwykle ukrywała pod owiniętą misternie na głowie śnieżnobiałą z czerwonemi brzeżkami *namitką*. Chadzała zawsze w niebieskim sukiennym gorsecie, z pod którego wyglądały grube, ale zawsze czyste rękawy i gors od koszuli, ozdobiony sznurkiem korali i poświęconym szkaplerzem. Obuwia nosić nie lubiła i z wielką niechęcią przywdziewała w zimie lub przy gościach grube męzkie buty. Trzewików służące wiejskie wówczas nie nosiły wcale: w mojej okolicy był to niejako przywilej szlachcianek zaściankowych (i to tylko w niedzielę lub święto) i „szlachetnie urodzonych” *panien* dworskich, a *panną* nazywano figurę pośrednią pomiędzy pokojówką i rezydentką—czasem szwaczkę domową lub przełożoną nad garderobą.

Fiedora, jak ją zapamiętam, była już bardzo starą: wszyscy mówili, że liczyła więcej niż sto lat życia, gdy została moją niańką. Sama o wieku swoim mówić nie lubiła, chociaż chętnie opowiadała swoje wspomnienia; z powierzchowności zaś, przy zupełnem braku zmarszczek i siwizny, można by dać jej najwyżej lat czterdzieści pięć. Nie miała już oddawna nikogo z rodziny, a pamiętała wiele, gdyż nie była poddanką, lecz sługą najemną i z niejednego pieca chleb jadła.

Fiedora nie umiała czytać ani pisać, a to dlatego, że nie od dzieciństwa, lecz dopiero owdowiawszy po dworach służyć zaczęła: chłopców bowiem i dziewczęta brane do posług w wieku dziecinnym, panie i panienki uczyły zawsze czytać i pisać, było to niejako regułą na Litwie. Dbali także państwo i o to, ażeby posługa dobrze i czysto mówiła po polsku, dając sami dobry przykład pod tym względem. Strofowano szczególniej niańki, jeżeli „psuły język” dzieciom, nie poprawiały ich błędów i nie przestrzegały czystej i wyraźnej wymowy. Nie poszukiwano wtedy jeszcze bon cudzoziemskich z wyraźnym warunkiem, żeby „nie umiały ani słowa po polsku”, nie oddawano dzieci pod opiekę cudzoziemek guwernantek, zabraniających pod karą używania mowy rodzinnej, jak to dziś widzimy. Mówię o czasach niezbyt dawnych, przed laty czterdziestu — a jak to już całkiem zmieniło się teraz na gorsze! Posługa przysłuchiwała się rozmowom panów, czytywała nawet czasem książki, śpiewała z kantyczek pieśni nabożne,—z tych wiele Kochanowskiego i Karpińskiego, i tak uszlachetniała swą mowę. Pamiętam, jak nieraz w dni świąteczne śpiewano chórem zapomniane już dziś pieśni religijno-historyczne z zaginionych również dziś dawnych kantyczek, jak np. pieśń o cudownym obrazie Matki Bozkiej Żyrowickiej, z której zatrzymałem w pamięci następujące zwrotki:

Jan Sobieski,
król nasz lechski,
wotum swoje oddaje;
że to nowa
Częstochowa
obrazowi przyznaje.
August wtóry,
widząc mury,
tu z Sasami przychodzi;
skłania głowę,
wojsko zdrowe i t. d.

Były tam także liczne pieśni o św. Stanisławie, Kazimierzu, o Maryi Królowej i inne, większej niż powyższa wartości.

Za przykładem państwa i literatura, a szczególniej poezya świecka znajdowała zwolenników nietylko pomiędzy piśmiennymi oficyalistami i piśmienną służbą, ale i pośród całkiem niewykształconej czeladzi. Był to czas, gdy w obec drożyzny i rzadkości książek drukowanych i innych przeszkód przepisywano gorliwie zbiory rozmaitych poezyi, głównie Karpińskiego, Kniaźnina, Niemcewicza i Mickiewicza. W każdym domu szlacheckim znajdowały się zeszyty i grube księgi rękopiśmienne z wierszami, częstokroć ozdobnie i z wielką pracą przepisywane, ciągle pożyczane sąsiadom, wydzierane niemal z rąk. Ekonomowie i panny służące przepisywali je sobie także, a kto przepisać nie mógł, ten chciwie słuchał głośnego w zimowe wieczory czytania, śpiewu, lub sam śpiewał jak umiał. My dzieci ze słuchania nauczyliśmy się tego wszystkiego na pamięć, sami nie wiedząc, jak i kiedy: powyższe i inne zasłużone w literaturze imiona były już nam znane niemal od kolebki. Śpiewano pieśni zwykle przy dźwiękach gitary, którą zawsze ktoś w domu władać umiał; służba obchodziła się bez akompaniamentu. Śpiewano wprawdzie wiele i lichych piosenek — sentymentalno-miłosnych lub dowcipnych, ale największe rozpowszechnienie zyskiwały zawsze poezye wyborowe lub cenne pod względem dziejowym: instynkt ogółu — ten sam, który objawia się u lazaronów neapolitańskich, powtarzających, jak mówią, tylko arye z oper wyborowych — i tutaj był trafnym. Niektórzy z dzisiejszych trzeźwych krytyków piorunują przeciwko temu zamiłowaniu poprzednich generacyi w poezyi, upatrując w niem źródło przesądów, szkodliwych mrzonek i zbytecznej tkliwości; ale mnie się zdaje, że więcej było skutków dobroczynnych, jako to: wykształcenie estetyczne, uszlachetnienie i zamiłowanie języka, zespolenie się z tradycyą ubiegłej przeszłości dziejowej, z poglądami i dążeniami poetów, wreszcie pewna znajomość praktyczna dziejów i literatury. Szerzenie się poezyi polskiej śród niższych warstw ludności w okolicach, o których mowa, wywierało na te warstwy te same wpływy, ale jeszcze silniejsze i pożądańsze, gdyż to, co dla szlachty było wzmocnieniem i ożywieniem, dla czeladzi było zaszczepieniem nowych zasad i zabytków duchowych, zbliżających ją do stanu umysłowego klasy szlacheckiej, zawiązujących pomiędzy obiema klasami węzły wspólnych przekonań i poglądów.

Z piosenek mniejszej wartości, skwapliwie były przepisywane i śpiewane w salonach i w izbach czeladnych takie np. sentymentalne utwory, które, gdy to piszę, całkowicie odświeżają się mi w pamięci:

O zdradne serca kobiece!
jak wam wierzyc trzeba mało!
Pokochałem niewdzięcznicę —
serce ją kochać kazało.

Sto razy mi przysięgała
na wszystkie świętości nieba;
teraz innym serce dała —
Kobietom wierzyć nie trzeba.

Albo następujący sentymentalny wierszyk:

Ustał wietrzyk, błyszczą wody,
żaden się listek nie ruszy;
ach, czemuż takiej pogody
nie doświadczam w mojej duszy!
Myślałem, chodząc w te strony,
że moja młodość upłynie
jak ten, kwiatem otoczony,
spokojny strumień w dolinie i t. d.

Ulubionym był także bajroniczny „Kolor Czarny":

Bym opiewał kolor czarny —
taki, pani, rozkaz twój:
rozkazowi twemu karny,
będę śpiewał kolor czarny,
bo to kolor mój.

Ja w kolorach samych czarnych,
widzę przyszłość swą;
i w rozkoszach życia marnych,
i w wspomnieniach smutnych czarnych,
cieszę siebie łzą.

Nawet łezki nie zobaczę,
kończąc życia kres:
chyba czarny kruk zakracze,
mała chmurka dżdżem zapłacze,
lejąc potok łez

Pomiędzy szlachcianeczkami, lgnącemi do błyszczących mundurów oficerskich, krążyły także makaroniczne francuzko-polskie piosneczki, w guście np. takiej:

Ah savez vous, ma chère, wszak demain gwardya
[będzie —
Quelle jolie societé nous trouverons wszędzie! etc.

Mężczyzni, oprócz śpiewek historycznych i wojennych, nucili chętnie pieśń Kniaźnina „Do wąsów" i żartobliwą piosenkę o małżeństwie, której tylko początek pamiętam:

Chcesz się żenić, przyjacielu?
To się żeń, to się żeń!
Pośród innych życzeń wielu —
dobry dzień! dobry dzień!

Wilczysko się ożeniło,
uszy opuściło:
au, au, au, au!
Lepiej dawniej było!

Ta ostatnia zwrotka jest niezawodnie odwieczną ludową.

Śpiewano także pieśń „Do fajki":

Miła towarzyszka moja
Ogniem goreje i stygnie i t. p.

Także i pieśń „Do cygara":

Z dymem mojego cygara,
kończą się moje cierpienia:
wszystko próżność, wszystko mara —
pociechy i udręczenia.
Nie zegnę karku przed możnym,
ani go też nie pochwalę;
w mówieniu jestem ostrożnym,
milczę i cygaro palę i t. d.

Poprzestaję na tych przytoczeniach, które będą może ciekawą próbką zaginionej dziś poezyi domowej, niegdyś w ustach znacznej części mieszkańców Litwy żyjącej.

Z utworów słynniejszych poetów, najczęściej, jak o tem już wspomniałem, dawały się słyszeć śpiewy historyczne Niemcewicza (szczególniej dumy o Leszku Białym i o Glińskim), pieśni Karpińskiego, Kniaźnina (głównie Matka obywatelka), ulotne wierszyki Masalskiego i Odyńca, wreszcie Mickiewicza: „Trzy piękne córki było nas u matki", „Wilia strumieni naszych rodzica", a nawet Alpuhara i wyjątki z „Dziadów". Spełniło się na Litwie, po części przynajmniej i to bardzo prędko, życzenie wieszcza, ażeby jego pieśni „Powtarzały dziewki": chociaż to bowiem może wydawać się mało podobnem do prawdy, pamiętam jednak doskonale, że wymienione utwory wieszcza rozlegały się w kredensie i w izbie czeladnej, że nucił je nawet drżący głos Fiedory.

Ale czas mi właśnie wrócić do Fiedory, od której za daleko odbiegłem. Fiedora mówiła zawsze czysto po polsku, a rodzimego narzecza białoruskiego używała tylko w dwóch wypadkach: w przemówieniach pieszczotliwych i wtedy, gdy się gniewała i łajała. To ostatnie wszelako zdarzało się rzadko, gdyż Fiedora, małomówna, cierpliwa i charakteru obojętnego, mało zadawała się ze służbą, a choć nie okazywała ani dumy, ani pogardy dla reszty sług, traktowała ich zimno i łagodnie zarazem, a oni mieli zawsze szacunek dla jej wieku, doświadczenia i mądrości, gdyż uchodziła u nich za uosobienie zdrowego rozsądku chłopskiego.

Fiedora śpiewała mi różne piosenki polskie i białoruskie, opowiadała czasem historyjki lub własne wspomnienia. Gdy przypominam sobie dziś te jej pieśni i opowieści, uderza mnie przedewszystkiem, że nigdy nie słyszałem od niej tych fantastycznych i cudownych bajek, któremi zwykle niańki zajmują i rozwijają chorobliwie wyobraźnię dzieci. Co więcej, dziś jeszcze przechowuję niezatarte wrażenia, które niejedna jej piosnka lub opowieść na mnie wywarła; niektórym z nich zawdzięczałem niejedno dziwne, bystre i jasne pojęcie moralne lub obyczajowe, które samo przez się wypłynęło z treści i zakorzeniło się w duszy mocno, bez umyślnego moralizowania i suchej kaznodziejskiej nauki. Fiedora nie czytała Russa ani innych pedagogów, a jednak zdrowy instynkt wstrzymywał ją widocznie od cudownych opowieści i podsuwał jej proste, a pod względem wpływu dobroczynne piosenki i historyjki.

Miał słuszność ten myśliciel czy poeta (podobno Heine), który niańkom przypisywał potężny wpływ na dzieci: istotnie wiele zawdzięczam Fiedorze.

Najpierwszą bodaj, zaledwie przy wyjściu z niemowleństwa, słyszaną przeze mnie od Fiedory piosenką, była następująca o koziołku, którą często przerywałem piastunce, powtarzając ostatnie zasłyszane słowo, zmienione szczebiotem dziecięcym.

Była sobie babka rodu bogatego,
miała koziołka bardzo rozkosznego;
— akośnego!
a ten koziołek był bardzo tłusty,
zjadał w ogródku dużo kapusty;
— okusty!
a ten koziołek, bardzo ciekawy,
chciał raz spóbować herbaty, kawy;
— awy!
a raz, gdy z domu wyszła babina,
z szafki łakomiec napił się wina.
Biedny koziołku! To nie dla ciebie —
ot już nieżywy i nie będzie w niebie...

Niebardzo jeszcze wówczas rozumiałem, co to śmierć i niebo, a jednak poczułem, słuchając tej prostej piosenki, że koziołka musiała spotkać straszna kara za łakomstwo, i powziąłem głęboki wstręt do tego grzechu.

Inną znowu śpiewała mi Fiedora piosnkę czyli raczej bajeczkę białoruską.

Siadzić sabié kóteczka na kuchni,
płáczeć, aż jej wóczeczki (¹) papuchli.
Czahó ty kóteczka płaczesz?
Sam kuchar, sam kuchar piaczeniu (²) zlizau,
Na mianié biednuju kóteczku skazau;
hraziusie (³) jon mnie łápoczki pabić:
czym że ja budu myszeczki ławić?
czemże ja budu dziétoczki karmić?

Cofnąwszy się myślą w błogie lata wczesnego dzieciństwa o sercu wrażliwem i nieskalanem, łatwo sobie każdy wyobrazi, jak do głębi wzruszyć może duszę dziecięcą prosta owa bajeczka, obudzając spółczucie dla niewinnie spotwarzanej kotki, litość dla jej głodnych dziatek i oburzenie przeciwko zbrodniczemu i kłamliwemu kucharzowi.

Pierwsze to wrażenie, na drodze tak prostej i niekunsztownej wywołane, niczem zatrzeć się nie daje, i z niego, naprzód instynktowo, a potem coraz to pełniej i jaśniej rozwijają się pojęcia o cierpieniu bez winy, o sieroctwie, o potwarzy, kłamliwości i prześladowaniu.

To znowu opowiadała mi Fiedora powiastkę o licznem rodzeństwie, które kochało się bardzo. Najstarsza siostra troskliwie pilnowała młodszych braciszków i siostrzyczki, gdy wszyscy prawie razem zachorowali. Przyszedłszy do zdrowia, dzieci zapragnęły okazać swą wdzięczność siostrze. Wiedziały że Marynia oddawna chciałaby posiadać jaką ładną skrzyneczkę, ale rodzice byli ubodzy i kupić jej nie mogli. Dzieci postanowiły zbierać i oszczędzać pieniądze, ażeby kupić dla siostry skrzyneczkę. Ale jak? Oto wybiegły czasem do publicznego lasu, ażeby uzbierać nieco grzybów lub jagód i sprzedawały je przejeżdżającym drogą panom; jedna dziewczynka pokryjomu sprzedała jakiejś małej panience swoją niebieską wstążkę, którą kiedyś od Maryni była dostała; chowały także skrzętnie każdy grosz dany przez rodziców, ale tego wszystkiego było mało. Skrzyneczka kosztowała najmniej 6 złotych, a dzieci przez całe pół roku zebrały zaledwie 4 złote.

Dowiedziawszy się o tem sąsiadka — dobra pani — dała dzieciom brakujące 2 złotówki; wprawdzie dzieci nie chciały przyjąć tego daru, mówiąc, że chcą kupić upominek dla Maryni za własne pieniądze, ale że chciały zrobić tę przyjemność siostrzyczce w zbliżający się dzień jej imienin,

(¹) Oczki.
(²) Pieczeń.
(³) Groził.

a gdyby chciały czekać, to pewno jeszcze upłynęłoby z pół roku, więc dobra pani namówiła je, że przyjęły od niej 2 złote, jako pożyczkę. W wielkiej więc tajemnicy kupiły dzieci w miasteczku piękną toaletkę *czeczotkową* (z gruszkowego drzewa) ze srebrnym łabędziem na wierzchu.

Miły Boże! ileż to było pociechy i radosnego płaczu, gdy w dzień Zwiastowania Panny Maryi — imieniny Maryni — po mszy, wróciwszy z kościoła dzieci, postawiły przed siostrą piękną skrzyneczkę, ostrożnie wydobywszy ją z zielonego sukiennego futerału.

To proste opowiadanie tak głęboko mnie wzruszyło, że zawsze przy końcu wybuchałem rzewnym płaczem. I rzecz dziwna — tyle już lat upłynęło, a i teraz jeszcze, gdy myślę lub mówię o przywiązaniu rodzinnem lub o wdzięczności, często staje mi w pamięci czeczotkowa skrzyneczka ze srebrnym łabędziem!

Powyższy ustęp o piosenkach i opowiadaniach Fiedory, choć niezbyt może dla dojrzałych czytelników zajmujący, niech będzie dla rodziców przestrogą, ażeby pilną zwracali uwagę na to, co piastunki dzieciom opowiadają: ważniejsze to niż zwykle sądzą.

Fiedora miała dość jasne pojęcie o stosunkach krajowych, a służąc od dzieciństwa przy dworach, podzielała poglądy szlachty. Mawiała zawsze, że to jest dobrem, co dobre państwo za takie uważają (u złych nie służyła). W skarbnicy wspomnień z długiego swego żywota niewątpliwie posiadała wiele ciekawych wiadomości o wypadkach całego stólecia. Przypuszczana zwykle, zwłaszcza w latach późniejszych, do pewnej poufałości, przysłuchując się rozmowom i planom obywatelstwa, najczęściej odzywała się przysłowiami białoruskiemi, zastosowanemi do okoliczności. Tak np. słysząc bardzo trzeźwe krytyki, mawiała: „sytyj hałódnomu nie spohadaje"; potrzebę wytrwałości wypowiadała przysłowiem: „uziaúszy sie za usz, nie każy szto nie duż"; bojaźliwość potępiała innem: „hórsz, kalì baiszsie i licha nie miniósz i nadrażyszsia". Ulgę po niepotrzebnym kłopocie oznaczało inne przysłowie: „baba z kalós, kalósom lehczej". Miała też w zapasie przysłowia satyryczne i pesymistyczne, jak np. „Nakarmi i napój, a budzie woroh twoj", albo: „Nie wier, kali sabaka spić, kobieta płacze i pijanyj prysiahaje". (1)

Czasami zasięgano rady Fiedory, a choć to czyniono niby żartem, pewno jednak nieraz korzystano z jej doświadczenia i zdrowego chłopskiego rozumu.

Zwyczajem ludu białoruskiego, który zwykle przypisuje swoje przysłowia i sentencye jakiejś nieznanej osobie, oznaczonej zaimkiem *tój* (ów), i Fiedora dodawała często skromnie: „jak toj kazaú" (jak mówił *ów*). Dodatek to bardzo charakterystyczny: zdawałoby się, że białorusin w swojej skromności i łagodnej pokorze obawia się, żeby jego samego nie wzięto za autora przytaczanych mądrych sentencyi.

Fiedora była stronniczką Sasów i nieprzyjaciółką Poniatowskiego — pamiętała zaś jego czasy, a nawet drugiego Sasa — i często powtarzała czterowiersz ludowy:

Za karalá Sasa
było chleba i miasa;
jak nastáu Poniatouski
i chleb stáu nie takóúski.

(D. c. n.)

OSTATNIA CHWILA.

Starzec umiera... któż mu tak pięknie
Wygładził czoło zmarszczone?...
Jakby sposobił je pod koronę,
Przed którą życie poklęknie!...

Jakby wypisać miał na tem czole
Tajemnych zgłosek rząd długi...
Przeżyte troski, przetrwane bóle,
I cichych ofiar zasługi?...

. . . .

Pierzcha ostatnia życia pokusa...
Rozpęka spójnia ze światem...
Świeci już tylko ten krzyż Chrystusa,
Co mu i sędzią i bratem.

Z krzyża Zbawiciel w cierniów koronie,
Milczeniem swojem przemawia:
„Oto Ja jestem — na bolów tronie...
Wielki miłością — co zbawia!..."

I z oczu starca padł promień drżący,
Na ciemne krzyża ramiona...
Jak płomień lampy zwolna gasnący,
Raz jeszcze błyśnie nim skona!..

Po twarzy uśmiech przemknął dziecięcy...
Przemknął — i rysy skamieniił...
Starzec już krzyża nie widział więcej,
Krzyż się w tron chwały zamienił!...

A. F.

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

I.

Z PARYŻA DO BURGOS.

Najpierw zatrzymaliśmy się w Bordeaux. Często porównywają to miasto do Wersalu, tylko upiększonego i powiększonego, a częściej jeszcze żartują z mieszkańców jego iż zadają sobie niesłychane trudy, aby snując się ciągle po ulicach, przedstawiali je za bardzo zaludnione. Co do mnie, patrząc na długie, proste i szerokie ulice Bordeaux, zawsze ożywione i pełne ruchu, wydało mi się rzeczywiście wielkiem i ludnem miastem, a rozległy port najeżony okrętami, tworzył nader malowniczą panoramę. Nie pojmuję tylko co tak zajmującego upatrzyli sobie mieszkańcy w krypcie kościoła Ś-go Michała, zapełnionej stojącemi ciałami zmarłych, co robi wrażenie jak gdyby się zabierały do jakiegoś piekielnego tańca.

Z natury swej Bordowianie są weseli i krotofilni, może w tem rządzi nimi prawo sprzeczności, aby przerażające te mumie choć chwilowo zmieniły ich usposobienie, o rzeczach poważnych obudzając myśli poważniejsze.

Cudowny błękit nieba już z oddali zapowiadał Hiszpanią, do której pragnąłem przybyć jak najprędzej; niepodobna jednak było przejechać Biarritz nie zatrzymawszy się choć kilka godzin w miejscowości tak modnej za cesarstwa, która po dziśdzień ściąga tłumy szukające zabawy lub uzdrowienia w słynnych kąpielach. Piasczyste wybrzeża wydają się jakby pokryte złotym kobiercem oszytym białą frendzlą; skały porozrzucane tu i owdzie, nawet z pośród fal wyłaniają się gromadkami. Widać obrażone tem zuchwalstwem, spienione bałwany pokrywają i rozbijają się o nie nieustannie, jakby pragnąc zawzięcie dokonać ostatecznej zagłady ruin jakiegoś zamku cyklopów. W tem zaimprowizowanem mieście wszystko jest nowe: hotele, domy, wille, których liczba wzrasta z każdym rokiem, piętrzą się na wzgórzu jedne za drugiemi, ciekawie spoglądając na morze, jakby widzowie z amfiteatru. Biarritz ma tę wyższość nad innemi stacyami kąpielowemi, iż nęci zarazem widokiem morza i gór kąpiących się w jego falach, które wznoszą się tu jakby kopiec graniczny między Francyą i Hiszpanią.

Granica ta ma zapewnioną kartę w historyi, tak z powodu wojen międzynarodowych jak domowych. Zdało mi się, że zalata tam jeszcze odór prochu ostatniej bratobójczej walki, która skończyła się wypędzeniem pretendenta.

Z Paryża można w jednym dniu przybyć do sławnej niegdyś Bidassoa, dziś nader skromnie się przedstawiającej. Nie tak było za czasów Filipa V. Młody monarcha, uszczęśliwiony i pragnący co prędzej ozdobić swe skronie koroną Karola V, nie mógł jednak przybyć prędzej jak we dwa dni i we dwie noce; tak jego jak dwór cały nie czekało tu bynajmniej świetne lub choćby wygodne pomieszczenie. Gdy stanęli w gospodzie pod Wielkim Jeleniem, tłum cisnący się do sali przewrócił nakryty stół, przygotowany dla monarchy; w Mirambeau, król wraz z towarzyszącym mu dworem, musiał stanąć w prostej wiejskiej karczmie.

Mówiono mi, że Bidassoa może pysznić się tem iż tylu królów przepływało jej wody: — zdaje się powinnoby to raczej ją upokarzać, iż posługiwały one tylu ambitnym samolubom, własnym widokom poświęcającycb szczęście ludów.

Góry wśród których przechodzi kolej, doskonale nadają się do wojen domowych i niespodziewanych napadów, oraz do przemytnictwa. Co krok nastręczają się oczom niezliczone zasłony i wąwozy, kręte i tajemnicze jak labirynty; zbrojne bandy mogą tu co chwila ukazywać się i znikać jakby za teatralnemi kulisami. Wskazano mi jedno wzgórze, na którem karliści zbudowali fort, i z niego bez ceremonii bombardowali Iran przez francuzkie terytorium.

Różne szczegóły z tej wojny opowiadał nam z oburzeniem bardzo uprzejmy i rozmowny hidalgo, który w Biarvitz wsiadł do naszego wagonu. Zamilkł jednak nagle, spostrzegłszy, że w przyległym oddziale siedział ziomek jego, jeden z najgroźniejszych przywódzców karlistowskich. Na

---

(1) Syty głodnemu nie spółczuje. Wziąwszy się za dzban, nie mów żeś niesilny. Gorzej, gdy się lękasz, bo i złego nie unikniesz i dosyć drżéć będziesz. Baba z wozu, lżej wozowi. Nakarm i napój, a będziesz miał wroga. Nie wierz, kiedy pies śpi, kobieta płacze i pijany przysięga.

szczęście, gdy dojeżdżaliśmy do granicy, ostrożny *cabecilla* uznał stosownem opuścić wagon i hidalgo mógł mówić swobodnie. Opowiedział nam tedy że ten kapitan karlistowski odgrywał bardzo ważną rolę podczas ostatniej wojny domowej, w ciągu której spotykano go w górach już to boso i odzianego w łachmany, już to w magnackim stroju, już znów w mundurze z sutemi szlifami i orderami, który umiał nosić ze swobodą i pańską miną naczelnego wodza. Żył w blizkich bardzo stosunkach z owym głośnym proboszczem Santa-Cruz; przekonawszy się jednak że ten przywódzca bandy karlistowskiej chwytał się nader niesumiennych środków, i pod płaszczykiem politycznym jakoby walczył w sprawie swego króla, rabował podróżnych i napadał na odosobnione domy, *cabecilla* pomyślał sobie iż możnaby w godniejszy wojować sposób, i w tym celu udał się do Tolosa, gdzie wówczas była główna kwatera i rezydencya don Karlosa. Jakkolwiek nie miał jeszcze wtedy wielkiego doświadczenia, potrafił jednak tak się przedstawić, iż został umieszczony w przybocznem biurze ministra wojny tego mniemanego króla.

W Tolosa zaprowadzono nader surową etykietę niby odbłysk starożytnej monarchii Karola V. Dwór składał się z wielkiej liczby szambelanów, koniuszych i różnych dostojników, uwijających się po mieście w galowych powozach, za które płacono monetą z popiersiem domniemanego króla.

Pewnego wieczora, podczas balu u dworu, spostrzeżono z niewymownem zadziwieniem prostego przywódzcę bandy, przedzierającego się bez ceremonii przez szereg dostojnych tancerek i tancerzy; zmieszany i przerażony niewymownie biegł co tchu do *króla* zawiadomić go o spisku mającym wybuchnąć lada chwila, i zagrażającym życiu monarchy. Dzięki temu ostrzeżeniu spisek stłumiono, a donosiciel wynagrodzony został stopniem pułkownika.

Ale dla Pretendenta wojna okazała się zgubniejszą od spisków; niezadługo potem cabecilla przemykał się za granicę wraz z królem, któremu ocalił życie, nie zdołał jednak zapewnić korony.

W tych prowincyach w których po dziśdzień objawia się jeszcze niezupełnie przytłumione wrzenie ostatniej wojny domowej, spotyka się bardzo wiele osób, które ważną w niej odgrywały rolę, jedni powodowani przekonaniem, inni, a tych najwięcej, osobistym interesem lub widokami, i żałują bardzo owych zaburzeń i wstrząśnień, pełnych przygód i niespodzianek. W ciągu dnia zdobywano majątki i stopnie, a kule i granaty, po większej części, tylko w przesadzonych świetnych sprawozdaniach przesyłanych do dzienników, raniły i zabijały.

Baskowie mają właściwe sobie pojęcia o prawowitości dynastyi, na mocy których popierali sprawę Pretendenta, który przysiągł iż zachowa im ich *fueros*, a żywił największą niechęć do usiłowań zmierzających wytrwale do zniesienia tradycyonalnych swobód i przywilejów. Na mocy odwiecznych przywilejów, Baskowie tworzyli dotąd państwo w państwie; nie opłacali podatków, nie potrzebowali używać papieru stemplowego, nie byli obowiązani służyć w wojsku, prawie żadnych ceł nie opłacali. Wyjątkowe to położenie prowincyi baskijskich było dawniej normalnym stanem wszystkich innych, które z czasem wytworzyły królestwo hiszpańskie; każda z nich miała swoje przywileje i swobody, które monarcha obowiązany był szanować i zachowywać jak najściślej. W Aragonii pierwotne ustawy zawierały nawet groźne zastrzeżenie: „iż jeźliby kiedykolwiek król pogwałcił ich fuerosy, Aragończycy mają prawo strącić go z tronu i wybrać sobie innego króla, choćby poganina."

Z wyjątkiem Basków, już od panowania Karola V fuerosy zostawały znoszone stopniowo, już to jako kara za jakiś bunt lub zaburzenie, już wprost z powodu trudności zachodzących w stosowaniu i rozwiązywaniu niektórych ustaw, a które monarcha rozstrzygał na swoją korzyść, w zamiarze zaprowadzenia jednakowego prawodawstwa we wszystkich królestwach półwyspu. Baskowie silniej i wytrwalej od innych bronili praw swoich, ale ileż to krwi i pieniędzy kosztował ich ten długo stawiany, a w rezultacie bezużyteczny opór. Dumne te ludy strasznie hardo stawiały się swoim królom; oto w jakich słowach Biskajczykowie zwrócili się do Filipa III w 1601 r. „Królu, my przedstawiciele starożytnego i prześwietnego państwa Viskai, zważywszy jak źle poinformowali w. k. mość fałszywi doradzcy, zachęcając do wyrządzenia nam krzywd i poniewierania naszych przywilejów, w nadgrodę licznych, wielkich i lojalnych usług jakie państwo nasze oddawało zawsze i dotąd oddaje koronie, a to przez wydanie rozporządzenia abyśmy podlegali takim samym prawom i opłacali takież same podatki jakie opłacają dobrzy ludziska królestw Kastylii, zebrawszy się na ogólne posiedzenie junty w naszem mieście Gueruica, uchwaliliśmy aby zanieść do w. k. mości pokorną prośbę, abyś raczył wymazać, wykreślić i poprawić w królewskich swoich postanowieniach wszystko co odnosi się do nas, gdyż to domaganie się nasze jest słuszne i sprawiedliwe. Niech w. k. mość nie zmusza nas do wystąpienia w obronie naszej drogiej i ukochanej ojczyzny, choćby nam przyszło patrzeć na niszczący ją ogień i pożogi, na śmierć naszych żon, dzieci i rodzin, choćbyśmy nawet zmuszeni byli postarać się o kogoś coby nam zapewnił opiekę i sumiennie strzegł praw naszych."

Baskowie nienawidzący wszelkich nowości, aślepo i gorąco miłujący swą niepodległość, byli najmocniej przekonani, że łącząc się ze sprawą don Karlosa, walczą w obronie swych praw i niepodległości. Jakże to strasznego doznaliby rozczarowania, gdyby los wojny sprzyjał pretendentowi. Pokonani czy zwycięzcy, nie byliby uniknęli centralizacyi, tej ogólnej dążności naszego czasu, której zadaniem zatrzeć cechy pojedyńczych prowincyi, dla wytworzenia ogólnej łączności i charakteru narodowego.

Po wygnaniu don Karlosa, rząd hiszpański przeprowadza z nieugiętą wytrwałością swoje plany zjednoczenia. W tym celu minister Canovas del Castillo umiał tak pokierować rzeczy iż Kortezi zagłosowali odpowiednie prawa, które nader zręcznie zostają stosowane od r. 1876; jednakże pomimo całego umiarkowania rządu, napotyka on wszędzie opór i głośne skargi. Oto jak wyraża się o tem znany autor hiszpański, Antonio de Trueba. „Co do mnie, zawołał, przyznaję że nigdy nie uznam tej strasznej, grożącej nam krzywdy; ostatnią łzą będę ją opłakiwał, ostatnią myślą potępiał!... Znosić nasze fuerosy, jest to wywieszać nieustannie chorągiew buntu, pod którą stawać będą wszyscy niechętni, szafując nadziejami i przyrzeczeniami mającemi gorzkie dla ojczyzny wydać owoce. Ludy które przez tyle wieków były wolnemi, nie upadną i nie poddadzą się kilku pociągnięciom ministeryalnego pióra!"

Rząd młodego króla walczy skutecznie z błędami przeszłości jakoteż i rozbudzonemi współcześnie namiętnościami, i dzięki temu, choć zwolna, postęp objawiać się zaczyna nawet u Basków, najuporczywszych i dotąd prawie nie Hiszpanów.

W ciągu podróży napotykaliśmy ciągle po drodze ślady niedawnej wojny i wstrząśnień politycznych; tu spalone dworce i domy, tam obalone lub poprzebijane granatami mury. Dawniej w prowincyach tych wcale nie było żołnierzy, dziś co krok ich się spotyka. Na wszystkich stacyach znajdują się żołnierze a głównie żandarmi, dobrze umundurowani, a ich marsowe miny, różnią się bardzo od zaniedbanej postawy zwykłych żołnierzy. Zapewniano mnie, że szanowni ci stróże publicznego bezpieczeństwa, znudzeni nieustannem pojawianiem się bandytów, rabujących domy i obdzierających podróżnych w imię tej lub owej zasady politycznej, gdy mają rozkaz konwojowania więźni z miasta do miasta, strzelają do nich bez skrupułu, gdy tylko znajdą się w odosobnionem miejscu. Podają za powód że więźniowie chcieli uciekać, w duchu zaś mówią sobie, że trzeba raz skończyć z niegodziwcami hańbiącymi sprawy polityczne.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

Uroczyste posiedzenie pięciu akademii, odbywane corocznie w stolicy Francyi, ma przywilej zwracania na siebie ogólnej uwagi, chociaż mowy wypowiedziane w stylu arcypoważnym nie dla wszystkich umysłów są przystępne.

Uczeni jednak francuzcy posiadają niezaprzeczenie dar większy, aniżeli uczeni innych narodów, jasnego przedstawiania najzawilszych kwestyi. Dzieła dotyczące popularnych wykładów wydane w Paryżu, nie wymagają najmniejszego natężenia uwagi, chwytają takową same, na podobieństwo z talentem napisanej powieści.

Zdania tego nie można powiedzieć o mowach miewanych w akademii paryzkiej; uczone to zgromadzenie stało ściśle przy tradycyi wymagającej pewnej uroczystości stylu, licznych wzmianek o różnych dziełach jako dowód erudycyi, choćby ten sposób opracowania był nudzącym i nieodpowiednim do okoliczności.

W miarę jednak upływu czasu, następują konieczne zmiany, nawet w kołach najbardziej konserwatywnych.

Tegoroczne posiedzenie pięciu akademii jest tego najlepszym dowodem. Dotychczasowe mowy tak były wszystkie do siebie podobne, jakby je ułożył jeden i ten sam człowiek. Jednostajność tego rodzaju była nieraz nużąca; słuchacze zawczasu uzbrajali się w konieczną cierpliwość, aby dotrwać na miejscu bez objawów niechęci. Tegoroczne posiedzenie było różne przynajmniej w znacznej części. Zawdzięczyć to należy panu Caro i panu Legouvé.

P. Caro nazywany we Francyi filozofem płci pięknej, wypowiada z elegancyą a nawet dowcipem najzawilsze kwestye dotyczące nauk socyalnych. Na posiedzeniu akademii nie mogło być mowy o dowcipie, ale pozostała mu elegancya, której dał dowody, wymieniając przyczyny, dla których akademia przyznała panu Nisard nagrodę, za napisane dzieło pod tytułem „Historya literatury francuzkiej.

„Instytut uwieńcza nie samo tylko dzieło, mówi p. Caro, ale życie całe poświęcone uprawie nauki,

nadzwyczajne wyrobienie smaku i umysł niezależny od obecnych wpływów filozoficznych wiodących przez sceptycyzm w objęcia materyalizmu."

Wypada nadmienić, że pięć akademii paryzkich przechodziły najrozmaitsze koleje, zanim każda z nich otrzymała ostateczne przeznaczenie. Przez jakiś czas połączone w jednem ognisku, rozsiewały światło w najrozmaitszych kierunkach. Współzawodnictwo jednak zwolenników różnych gałęzi było wielkie i szkodliwe, rozdział był konieczny dla dobra ogólnego, powstało więc pięć akademii różnych: nauki ścisłe, sztuki piękne, nauki historyczne, moralność i polityka, nareszcie język i literatura francuzka.

„Akademie te, mówi dalej p. Caro, różniące się między sobą przedmiotem i metodą, wiodące żywot oddzielny, zostają z sobą w doskonałej zgodzie, co bynajmniej nie przeszkadza niepodległości każdej. Połączone w rozdzieleniu, wywierają na siebie wpływ jedynie współzawodnictwa rozwijania pracy w coraz szerszym zakresie. Objawy są rozliczne, duch jednak jeden i ten sam: artyści i uczeni, filozofowie, romansopisarze, historycy i poeci, erudyci i mówcy, zmierzają do jednego i tego samego celu, wykrycia prawdy. Prawda, jak to sądzą błędnie niektórzy, nie jest tylko udziałem nauk w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ale i każdego utworu sztuki bez wyjątku, jako ulegającego niewzruszonym prawidłom piękna.

W łonie akademii napotykamy obraz towarzystwa idealnego, które aby jak najprędzej znalazło urzeczywistnienie w rozmiarach o ile możności najobszerniejszych.

Niewątpliwie każdy myślący człowiek uzna ważność tego pragnienia. We Francyi jednak nie unosi się on gdzieś wysoko w krainie abstrakcyjnej, i owszem użyto wszystkich środków do wprowadzenia jego w życie, i jeżeli z jednej strony otwarto szeroko podwoje dla szukających nauki, z drugiej znów każdy talent bez wyjątku choćby najdrobniejszych rozmiarach, znajdzie poparcie i zachętę do ujawnienia owoców swej pracy.

Następnie zabrał głos p. Legouvé.

Opracowanie jego dotyczyło autora dzisiaj prawie nieznanego, który za czasów pierwszego cesarstwa używał rozgłośnej chociaż dosyć dziwacznej sławy.

Jest tu mowa o Nepomucenie Lemercier, pisarzu dramatycznym za czasów pierwszego cesarstwa, którego Napoleon z dumą nazywał swoim przyjacielem, a Taylerand najmilszym człowiekiem z całego Paryża.

Pierwsze jego wystąpienie na polu prac literackich było dosyć szczególne.

Pewnego dnia zebrali się członkowie komitetu teatru francuzkiego celem odczytania sztuki napisanej przez młodego autora poleconego wielce przez Lwdwika XVI i jego małżonkę. Działo się to jeszcze przed rokiem 1789. Zebrani artyści z zadziwieniem patrzą na przedstawionego sobie twórcę mającej się czytać tragedyi.

Był to młody zaledwie czternastoletni chłopiec, z długiemi bląd włosami przedzielonemi na przodzie, z niebieskiemi oczami, nietylko ze skromnym ale bojaźliwym wyrazem twarzy, który w dodatku przybył w towarzystwie swego nauczyciela.

— Widocznie ten młodzieniaszek, mówili do siebie artyści, jest synem jakiegoś znakomitego domu. Nauczyciel ułożył tragedyą, syn ją podaje za swoją dla większej chwały rodzinnego herbu.

Pod wpływem tego przekonania zawezwano nauczyciela aby czytał swój utwór, mówiąc z wiele znaczącym uśmiechem:

— Prawdopodobnie pan czytać będzie.

— Wcale nie, zawołał żywo młody Lemercier siadając na miejscu przeznaczonem dla autorów, pracę moją życzę sebie przeczytać osobiście.

Jakkolwiek czytał dobrze z widocznem zrozumieniem przedmiotu, niedowierzanie jednak ogólne nie ustawało aż do chwili, w której zamknięty w osobnym pokoju, przerobił jedną scenę wedle udzielonych mu wskazówek.

Pierwsze przedstawienie zgromadziło w sali teatralnej wszystkie znakomitości znajdujące się ówcześnie w Paryżu, począwszy od rodziny królewskiej.

Lemercier jakkolwiek wychodził z rodziny nieznanej, ale był synem chrzestnym księżnej de Lambali i jej zawdzięczał poparcie, które znajdował w kołach towarzyskich.

Sztuka przyjęta była jak najlepiej. Autor siedział w loży królewskiej, królowa sama uściskawszy go serdecznie przedstawiła publiczności, uniesienie ogólne było nie do opisania. Jeden tylko Lemercier był smutny i poważny; stosownie do przyjętego zwyczaju, podziękował artystom za podjętą pracę, a później zażądał od suflera zwrotu rękopismu, celem jak mówił, zrobienia niektórych poprawek. Nazajutrz dyrekcya otrzymała list następujący.

„Szanowni panowie!

Wczorajsze przedstawienie mej sztuki wzruszyło mnie bardzo, ale na szczęście nie olśniło mnie wcale.

Sztuka moja jako utwór dziecka, nie ma wartości rzeczywistej, rozlegające się oklaski były tylko zachętą i niczem więcej. Nie chcę nadużywać dobroci publiczności i cofam sztukę. Przyszła moja praca spodziewam się będzie odpowiedniejszą, panowie, dla waszych talentów."

Zaiste wypadek nadzwyczajny w dziejach sztuki teatralnej, aby czternastoletni chłopiec w ten sposób wytłomaczył wydane na jego cześć oklaski.

Opisany początek zapowiadał w przyszłości olbrzyma na polu literatury. Odpowiednio do stanowiska zapatrywania się, nadzieja ta nie spełniła się i spełniła: nie spełniła się, ponieważ autor nie znajdował powodzenia wielkiego; na piętnaście jego sztuk dziewięć było wygwizdanych; spełniła się zaś ponieważ Lemercier pierwszy był twórcą tak zwanego teatru narodowego. Przedmioty do jego utworów dramatycznych brane były z dziejów Francyi, porządkiem niejako chronologicznym, począwszy od pierwszego jej zawiązku. Sztuki te same przez się nie znalazły powodzenia: kiedyś były wygwizdane, dzisiaj nieznane są prawie wcale ogółowi publiczności, ale pozostała tradycya o Fryderyku Lemercier jako o pisarzu oryginalnym, a co ważniejsza prawdziwie narodowym. Prace jego zapowiedziały nowy zwrot, w którym narody europejskie wystarczą same sobie, nie potrzebując szukać natchnienia u dawnych Greków i Rzymian. Z tego względu Lemercier zajmuje niepospolite stanowisko w dziejach literatury francuzkiej.

(*D. n.*)

KILKA SŁÓW
O PIŚMIENNICTWIE CZESKIEM.

„Żeńskie Listy", pismo peryodyczne pod redakcyą pani Elizy Krasnohorskiej, zasłużonej obywatelki, znanej autorki czeskiej, będące dosłownie „Kobiecem pismem", organem przeznaczonym ku oświacie pań i panien czesko-słowiańskich, przedstawia się nam w bardzo skromnej zewnętrznej szacie. Forma in octavo, stronnic 16, skromna liliowa okładka. Przyznać musimy że ze zdziwieniem braliśmy je do ręki i z pewnem nawet ubolewaniem nad Czechami że są tak biedni, iż nie mogą się zdobyć na staranniejsze wydanie. Ale zaledwie rozpatrzyliśmy się w tych cieniutkich a niepozornych zeszytach, o jakże odmienne uczucie nami owładnęło!

„Żeńskie Listy" wydawane są przez *Spółkę kobiet czeskich*, i aby dobrze istnienie ich zrozumieć, trzeba nam się naprzód z samą spółką zapoznać. Spółka ta powstała przed dziesięciu laty, w celu praktycznego kształcenia w duchu narodowym dziewcząt czeskich średniej klasy. W założonej przez siebie szkole, ustanowiła trzy główne działy: handlu, przemysłu i języków, a od przeszłego roku powstał dział czwarty: dozorczyń chorych. Nie wchodzimy w bliższe rozpatrywanie tych działów, mając zamiar obszerniejsze później złożyć sprawozdanie o samej tej spółce i o innych kobiecych spółkach i stowarzyszeniach w Czechach istniejących. Powiemy tylko, że dział przemysłowy zawiera w sobie naukę rysunku, geometryi i drzeworytnictwa, oraz prac ręcznych wszelkiego rodzaju. Wszystkie te działy nndzwyczaj pomyślnie się rozwinęły, cyfry o tem świadczą, prace zaś uczenic są spieniężane, lub na dobroczynne zakłady oddawane. W krótkim czasie spółka była w stanie założyć swoją własną drukarnię, drzeworytnię i na swoją korzyść pisma i książki wydawać.

Jakiemiż to znacznemi funduszami musiała spółka rozporządzać, jeżeli doszła do tak świetnych rezultatów? zapytacie zdumione, moje łaskawe Czytelniczki.

Funduszami w porównaniu prac dokonanych, nader skromnemi i płynącemi ze źródeł najzwyczajniejszych jak dary dobrowolne, wpisowe, opłata uczenic, koncerta, teatra amatorskie, odczyty na dochód spółki i nieustająca loterya, a wszystko w cyfrach nadzwyczaj umiarkowanych.

Wśród darów rzadko kiedy spotkać się można z setkami, jednostek zato mnóstwo. Bilet loteryi po 20 krajcarów, ale tych biletów milion, a na każde 500 biletów, 20 wygrywających. Fanty najrozmaitsze i od najrozmaitszych osób pochodzące. W każdym numerze „Żeńskich Listów" jedna stronica niemi zapełniona. „Małemi lecz wspólnemi siłami" jest ogólnem hasłem tak dla Czechów jak dla Czeszek.

Mając przed sobą „Żeńskie Listy" z dwóch lat, bierze nas wielka chętka pomówić o ich treści z całego tych lat przebiegu, ale ograniczymy się tylko na trzech numerach z ubiegłego kwartału, mając nadzieję że odtąd co kwartał będziemy mogli podobne sprawozdania udzielać.

Przeglądając spis artykułów zawartych w „Żeńskich Listach", nowe zdumienie nas ogarnia.

Wszystkie artykuły są pióra kobiecego, a spotykamy się tam z bardzo poważnemi pracami i zawsze odnoszącemi są do kobiet, jak np. „O este-

tycznem wychowaniu kobiet", „Kobiety w epoce odrodzenia we Włoszech", „Kobiety na Wschodzie" i tym podobne. W każdym numerze jest obszerne sprawozdanie o czynnościach spółki, doniesienia o rozwoju innych spółek i stowarzyszeń kobiecych, tak w Pradze jak na prowincyi, wiadomości literackie, rozmaitości, listy osób prywatnych i odpowiedzi redaktorki. W fenillotonie krótkie wierszyki lub życiorys, a w przeszłym roku było dwie powieści.

Z przeszłego kwartału zwraca na siebie uwagę odczyt pani E. K. (zapewne Krasnohorskiej) o estetycznem wychowaniu kobiet, wypowiedziany w literackiem stowarzyszeniu Smiechowskiem, w którym wykazuje jak wielką rolę gra w życiu uczucie piękna i smak wykształcony, zwłaszcza u kobiet. Wskazuje jak niem trzeba kierować i jak je wyrabiać, a urozmaicając odczyt swój kilku przykładami, kończy tem, że wyrobiony smak estetyczny uszlachetnia i podnosi, a skierowany ku rzeczom głębszym i poważniejszym, nie dozwoli aby kobiety widziały piękno, tylko w strojnem i wykwintnem ubraniu, w bogatem otoczeniu, lecz także w uśmiechu na twarzy cierpiącego, w skromnem lecz czystem mieszkaniu ubogiego któremu przyszły z pomocą i wszelkich starań dołożą, aby zniknęła bieda i nieporządek, niesprawiedliwość i uciemiężenie jednostki i ogółu. Taki smak estetyczny nie dopuści aby syn sławnego narodu korzył się przed cudzoziemcem, aby córka zapomniała pięknego języka ojców swoich, i nauczy każdego choćby największego prostaka, że szlachetne poczucie własnej godności jest pięknem i cnotą.

Następnie spotykamy się z zajmującym artykułem o dobroczynnych stowarzyszeniach w Bernie, przez panią Bayerową. Nie pierwszy to raz mamy dowód przyjaźni Czechów do Szwajcarów, stawiających ich za przykład skrzętnej pracy i gotowości do poświęceń dla dobra społeczeństwa.

Autorka sama te wszystkie zakłady zwiedzając, podziwia ich liczbę, doskonałe urządzenie i ofiarność publiczną, która cel swój osiąga, gdyż żebraków spotyka się bardzo niewielu. Szkoda tylko, że autorka nie daje bliższych szczegółów urządzenia tych zakładów, czemby rzecz swoją bardziej jeszcze zajmującą uczyniła.

Pani Bogumiła Klimaszowa zapoznaje nas z życiem ludu wiejskiego i z jego obyczajami. Są one bardzo zbliżone do obyczajów ludu naszego i często te same przysłowia się spotykają. Ubolewa przytem, że zwyczaje i mody miejskie, coraz bardziej po wsiach się przyjmują.

W artykule: „Z wagonu" bezimienna autorka żali się, że w Pradze znalazła wszystko inaczej aniżeli się tego spodziewała, słuchając przed laty opowiadań ojca swego, a szczególniej, wywyższanie się jednych nad drugimi, hołdowanie materyalizmowi a wyśmiewanie niepraktycznego, zastarzałego idealizmu.

Widzimy z tego że i Czesi, a co więcej Czeszki,— gdyż kobietom odmawiają zmysłu krytycznego, nie zaślepiają się względem swoich i w potrzebie gorzkie słowa prawdy wypowiadają, zawczasu o złem ostrzegając. Potem jednak dodaje: „Na szczęście, nie wszędzie jest tak źle, są jeszcze inni ludzie i inne charaktery, ale niestety, nie oni stoją u steru, nie oni mają wpływ i władzę. Naszem to, kobiet czeskich zadaniem, wskrzesić nanowo ten idealizm, który dotąd był bodźcem do wszystkiego co jest wielkiem w dziejach czeskich. Jak dawniej było tak jest i dzisiaj. Świadczy o tem teatr narodowy; czyż nie jest on wynikiem idealizmu narodu czeskiego? Idealizm go wzniósł, idealizm nim rządzi, a on go powinien w sercach synów naszych przechować.

(*D. n.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Klasztor na Jasnej Górze w Częstochowie, z którym wiążą się tak wielkie pamiątki i wspomnienia dziejowe, obchodzić będzie w r. b. dnia 8 września nader rzadką uroczystość pięćsetletniego jubileuszu. Pięć wieków albowiem skończy się w dniu tym od chwili gdy w to miejsce cudami dziś słynące, sprowadzono obraz Matki Boskiej. Na jubileusz ten, prócz nader licznego zjazdu duchowieństwa i biskupów, zjechać ma także delegat wysłany od Ojca św. Uroczystość ta ściągnie niezawodnie niezliczone tłumy pobożnych z najodleglejszych okolic. „Kur. Wars." podaje piękną myśl aby jubileusz ten uczcić jakąś pamiątką, stanowiącą trwały i zbawienny pożytek, jak np. założenie przy klasztorze domu przytułku dla starców i kalek, oraz ochrony dla sierot. Piękny to pomysł i wartoby wprowadzić go w życie i pomyśléć zawczasu o uzyskaniu pozwolenia władzy na zbieranie składek. Nie można nawet wątpić że każdy z przybyłych pątników chętnie złoży choćby grosz wdowi na ołtarzu dobroczynnym, zwłaszcza jeźliby kapłani gorącem słowem zachęcili do spełnienia wedle możności pobożnego i miłosiernego uczynku.

*** Czytamy w pismach codziennych iż pewna szanowna obywatelka z Gubernii Zachodnich, pani G., czasowo mieszkająca w Warszawie, zamierza kazać wznieść wielki dom dla szwaczek, w którym mieszkania dostawać mają bezpłatnie, a stół za małą opłatą. Podobno gmach ten, którego plan jest już ukończony, ma obejmować 200 pokoi, i stanąć przy ulicy Hożej, gdzie już plac jest zakupiony, i gdzie zaraz po zatwierdzeniu planu budowa ma się rozpocząć. Dom ma obejmować wspólną salę do zabaw, salę jadalną; w każdym pokoju dwa łóżka dla dwóch pracownic. Z tego wnosić należy iż będzie to dom przeznaczony wyłącznie dla szwaczek nie mających rodziny. Jaki będzie kierunek i kto zajmować się nim będzie, dotąd nie wiemy. W każdym razie należy się uznanie dla szlachetnej ofiarności pani G.

Drugą równie pożądaną wieścią jest, że pewne kółko pań warszawskich, pragnąc ulżyć ciężkiej doli pracujących kobiet, zamierza urządzić bezpłatną szkołę rzemiosł. Istniejące obecnie zakłady, przyjmują tylko uczenice mogące uiszczać dość wysoką stosunkowo zapłatę, i z tego tytułu dla ogółu pracownic są nieprzystępne. Główna inicyatorka tego pomysłu p. B. chce aby zamierzona szkoła mogła przyjmować najbiedniejsze uczenice, i dlatego stara się o jak najszersze poparcie. Dotąd kółko popierające zamiar p. B. składa się z kilkunastu pań, które nie mogąc rozporządzać znacznemi funduszami, robią różnego rodzaju roboty i sprzedają je na cel powyższy. Na początek panie te chcą otworzyć trzy oddziały: krawiectwa, szewctwa i fryzyerstwa. To ostatnie jest nader właściwem zajęciem dla kobiet, i doprawdy dziwić się trzeba, że dotąd nie zwrócono na to uwagi. Szczęść Boże poczciwym zamiarom!

*** We Lwowie zawiązało się towarzystwo p. n. *Towarzystwa Opatrzności.* Postanowiło ono zaprowadzić znaczki 1, 3 i 5 cent. i te w oznaczonych miejscach sprzedawać publiczności, aby udzielano je ubogim jako jałmużnę. Za znaczki te towarzystwo dawać będzie odzież, strawę lub mieszkanie. Zdaje się iż rzeczywiście w ten sposób da się po części zapobiedz coraz liczniejszemu żebractwu i przepijaniu wyzyskanej jałmużny. Prócz tego towarzystwo to powstałe pod godłem Opatrzności, zamierza urządzić we Lwowie dom pracy dla biednych szukających zarobku.

*** Znana autorka francuzka, pani Olimpia Audouard, domagająca się szerszych praw dla kobiet, ale w uczciwych i moralnych granicach, miewa w tej kwestyi często konferencye publiczne, liczne zawsze uczęszczane. Oto jak mówi w jednej z ostatnich.

„Dotąd mężczyzni mówili nam: Bądź dla nas bóstwem albo służebnicą; bóstwem dla męża który kocha, służebnicą dla tego co kochać przestał. Bądź aniołem nieskalanym lub zalotnicą, bo potrzebne nam oba te rodzaje kobiet. Dalej jeszcze mężczyzni wmawiali w nas: że nauki wszelkie, sztuki piękne, prawo i literatura nie dla nas, że dość abyśmy wiedziały że Pekin nie leży we Francyi i umiały im się podobać — więcej od was nie żądamy, mówili. I przywłaszczyli sobie wyłącznie monopol prawa i literatury, będących odbiciem sumienia publicznego, mianując się zarazem opiekunami i kierownikami kobiet, mającymi rozwijać ich pojęcia i zasady i stając się tem samem odpowiedzialnymi za ich dusze.

I jakże to wywiązali się z tego? Oto prawa ich popychają częstokroć do demoralizacyi, literatura szerzy zgorszenie, utwory dramatyczne popychają do wiarołomstwa. Ośmieszają w nich mężów, idealizują kochanków, uniewiniając zarazem niewierne żony, i zamiast wykazać jakie poniżenie i udręczenia ściąga na nie wiarołomstwo, przedstawiają złe w jak najponętniejszem świetle, jako rzecz nieuniknioną niemal, a tem samem krzywią pojęcia i zagłuszają sumienie kobiet, popychają tysiące do sponiewierania najświętszych obowiązków... Przedstawiając podobne obrazy, żaden autor nie myśli naturalnie o własnej żonie ale o żonach cudzych, nie zastanawiając się nad tem że i jego żona jest cudzą dla jego kolegów... Ileż to razy, mówi dalej p. Audouard, wracając z jakiegoś liczniejszego zebrania, panowie w obecności sióstr, żon, często nawet córek, unoszą się w pochwałach nad modnemi wietrznicami, wychwalając ich urok i powaby; — a słowa takie nader rzadko uchodzą bezkarnie. Wiedziona wrodzonym instynktem a może więcej jeszcze ulegając wmawianym w nią zasadom: że główném jej zadaniem jest: podobać się mężczyznom, niejedna kobieta naśladuje z początku bezmyślnie te, które przedstawiono jej w tak ponętnem świetle, i jak ćma leci niebacznie w płomień, który opali jej skrzydła i bezwładną popchnie w przepaść.

„I oto powód iż obecnie tak często opłakiwać trzeba upadek tylu kobiet — a czyjaż w tem wina jeśli nie was, panowie, którzy wbrew zasadom Ewangelii, wymyśliliście dla siebie odmienne prawa moralne?... Jaką miarką mierzycie, taką wam oddają."

Nie można zaprzeczyć, że szczególniej pod względem najgorszego wpływu jaki wywiera dziś utworami swemi większość powieściopisarzy i dramaturgów, pani Audouard ma zupełną słuszność, ale, niestety! czemuż dziś tyle kobiet wstę-

puje w ślady, szerząc pismami swemi najniemoralniejsze zasady!

*** W gazetach niemieckich zamieszczona jest wiadomość z Londynu, podana przez któregoś z korespondentów, że w połowie z. m. uczony archeolog p. Rassam, znany z odkrycia wielu zabytków asyryjskich, w sali Instytutu zdawał sprawę z wykopalisk znalezionych w okolicach Bagdadu. W marcu r. z. odbył on wycieczkę w kierunku wschodnim do Bagdadu, dla zbadania ruin starożytnych miast. Arab jakiś oznajmił mu że zna pewną miejscowość odległą o 5 mil drogi, w której znajdują się takie ruiny; gdy p. Rassam udał się tam z nim, po czterech dniach kopania, znalazł resztki ogromnego budynku. Obecnie składał się on już tylko z czterech izb w stylu asyryjskim, wyłożonych kamiennemi płytami, i z piątej izby z podłogą asfaltową, co dowodziłoby że smołowiec nie jest wcale nowoczesnym wynalazkiem. Dalsze poszukiwania dozwoliły odkryć pod asfaltem sklepienie pokryte licznemi napisami, które uznane zostały za najdawniejszy zabytek starożytności ze wszystkich znanych dotąd. P. Rassam mniema,— a mniemanie jego podzielają podobno asyrolodzy Muzeum Brytańskiego, *że napisy te pochodzą z czasów Noego*, co zresztą zgadzałoby się z podaniem iż Noe zagrzebał w ziemi napisy z epoki przedpotopowej. Wydobyto już setki tych tablic i wszystkie mają być przewiezione do Anglii. P. Rassam przesłał już dwa słupy cylindryczne pochodzące z owego sklepienia, do Muzeum brytańskiego. P. Rassam w tem miesiącu opuści Londyn, aby w tejże miejscowości dokonywać dalszych poszukiwań.

Pomimo całego uznania dla uczonych archeologów i asyrlologów, wiarogodność tych pamiątek po Noem wydaje nam się nieco podejrzaną.

*** Wyspa Chios (Kios), która przed ostatniem strasznem trzęsieniem ziemi nęciła urokiem prześlicznego położenia, zdaje się być zagrożoną ostateczną zagładą. Nieustannie daje się słyszeć huk podziemny, a przed kilku dniami powtórzyły się dość silne trzęsienia ziemi. Zachodnia część wyspy coraz więcej się obniża, tak iż wkrótce zniknie pod wodą, a źródła gorące wytryskujące coraz w innych miejscach, uważane są za oznakę nader niebezpieczną. Bogatsi mieszkańcy zaraz po ostatniej katastrofie, przenieśli się do Konstantynopola, z pozostałych, większość zamierza opuścić wyspę. Nieruchomości i grunta które tu dawniej tak przepłacać trzeba było, teraz więcej niż za wpół darmo nabyć można.

Dziwna rzecz iż jeszcze w r. z. obłąkany jakiś pustelnik przepowiadał mającą nastąpić klęskę, i szczególnym trafem przepowiednia jego spełniła się w oznaczonym dniu i godzinie.

*** O słynnej *Dolinie śmierci*, znajdującej się na pełnej wulkanów wyspie Jawie, pewien podróżnik amerykański podaje następujące szczegóły. Zbliżając się do doliny Grevo-Oupas, doznaje się silnych mdłości i mocnego odurzenia, będących wynikiem bardzo przykrych wyziewów. Dolina ta, mająca mniej więcej milę angielską obwodu, leży o 30 do 35 stóp niżej niż okoliczne grunta. W najniższem miejscu jest zupełnie płaska, naga, bez śladu roślinności, i tam w pośród ogromnych bryl kamienia, leżą porozrzucane szkielety ludzi, tygrysów, dzików, jeleni i różnych wielkich ptaków. Na całej tej przestrzeni nie widać żadnych rozpadlin ani jakichkolwiek otworów, z którychby gazy albo pary wydobywać się mogły, zaś otaczające dolinę wzniesienia, zarosłe są od dołu do góry drzewami i krzakami gęsto i bujnie rosnącemi. Pies spuszczony na dno doliny, po upływie pięciu zaledwie sekund padł nieżywy, jednak wydobyty po kilku minutach, oddychał jeszcze, inny zdechł zanim dotknął ziemi. Zdaje się że znajdujące się tam szkielety ludzkie, są to szczątki podróżnych, którzy nie wiedząc o grożącem niebezpieczeństwie, zapuścili się w dolinę śmierci.

*** Ostatni numer dziennika „North China Herald“ podaje odezwę wice-króla Kantonu, wydaną z polecenia ministra wojny w Pekinie. Odezwa ta obejmuje surowy zakaz odnoszący do cywilnej ludności Kantonu, aby pod żadnym pozorem nie ważyli się uczęszczać do świątyni boga wojny (Kwantais), ani też modlić się do niego, lub jakiekolwiek składać mu ofiary. „Bóg wojny, opiewa odezwa, jest na wskroś bogiem politycznym, mającym się zajmować wyłącznie sprawami wojskowemi a nie zaś cywilnemi, zatem temi ostatniemi trudzić go nie należy. Nadto każdy wiedzieć powinien, że jako duch czysto militarny, bożek ten dość ma na głowie będąc zmuszonym myśleć o żołnierzach, działach, rynsztunku wojennym i t. p. rzeczach, aby miał się troszczyć o modły i ofiary cywilne.“ Jednocześnie z ogłoszeniem powyższej odezwy, skonfiskowano ze wszystkich handlów obrazy tego bóstwa i pod najsurowszą odpowiedzialnością zakazano malarzom malować nowych. Tylko oddzielni, wyłącznie upoważnieni do tego malarze, malować będą bożka wojny dla armii, na wyraźne polecenie ministra wojny.

Ciekawa rzecz co wywołało to postanowienie, czy bojaźń wojny, czy też obawa aby zajęty sprawami cywilnemi, bożek nie chciał dopuścić wojny?

*** Ciężkie są w Ameryce obowiązki sędziów przysięgłych. Amerykanin Karol Farland, z Waszyngtonu, bawiący w Berlinie, wezwany został telegramem, aby jak najśpiesznej powracał dla zastąpienia brata w zajęciu się interesami, ponieważ tenże, jako sędzia przysięgły zasiada na sprawie Guiteau.

Według obowiązujących przepisów, przysięgli od chwili rozpoczęcia procesu mieszkają jakby za klauzurą, niewolno im wychodzić, przyjmować odwiedzin, a nawet czytać gazet. Żony i dzieci mogą wprawdzie odwiedzać ich czasami, ale tylko w obecności urzędnika sądowego. W grudniu raz na jeden dzień przerwano posiedzenia, aby jeden z sędziów przysięgłych mógł być na pogrzebie żony, a drugi raz z powodu choroby sędziego. Sędziów zastępców nie ma w Ameryce, a tak zasiadający w procesie Guiteau, na trzy miesiące blizko musieli opuścić własne interesa i obowiązki.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Ubranie z długim płaszczykiem pluszowym, zdobnym wspaniałą pasmanteryą i szerokiem obłożeniem futrzanem. Kapelusz aksamitny przybrany piórami i atłasową wstążką, z woalikiem gazowym związanym pod brodą.

Ubranie z krótkim płaszczykiem z deseniowego aksamitu z kolorową pluszową podszewką, ogarnirowanym suto koronką. Kapelusz filcowy przybrany atłasem i podpięty kolorowem piórem. Mufka z atłasu, wstążki i koronki.

Ubranie dla małej dziewczynki. Paletocik z materyału boucle z kręconym włosem, zdobny szarfą z ciemnego aksamitu. Kapelusik pluszowy podszyty aksamitem, zdobny piórem i wstążką.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 25 Января 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 6, r. 1882.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

Armand zatrzymał się chwilę, a potem dodał obojętnie:

— Co do mnie, nie idzie mi o to koniecznie abym był obrońcą tego nieszczęśliwego, tem więcej jeżeli, jak pan utrzymuje, musi przegrać sprawę; powiem mu aby się udał do któregoś z moich kolegów i pokaże mu uniewinniające go dowody.

Hrabia utkwił w twarzy Armanda zimne i przenikliwe spojrzenie, jakby chciał zajrzéć w głąb' jego duszy. Tak przynajmniej młody adwokat je sobie wytłomaczył.

— Sądzę, odezwał się pan de Trémeillan po chwili milczenia, że najlepiej będzie abyś przed rozpoczęciem sprawy przysłał do mnie tego człowieka. Ja go sam wybadam, i jestem pewny że następnie już nie będzie śmiał twierdzić że jest niewinnym. Znam pewne szczegóły...

Hrabia nie dokończył i zapadł w posępne milczenie. Wtenczas Armand odezwał się znowu; pilno mu było skończyć tę rozmowę.

— Ja także znam szczegóły tak stanowcze, że niewinność Jana Torquenié zdaje mi się jasną jak słońce. Powiedziano iż zabił wice-hrabiego de Mortrée dla tego że zalecał się do jego żony; otóż wiem z pewnością że było to fałszywe oskarżenie... Kobietą u której pan Mortrée bywał potajemnie, nie była Maryanna Torquenié!

Pan de Trémeillan zerwał się nagle, jakby podrzucony jakąś nieznaną siłą. Chodził czas jakiś po pokoju szybkim i niespokojnym krokiem, potem stanął przed Armandem i patrząc mu prosto w oczy, zawołał usiłując opanować drżenie swego głosu:

— Cóż dalej?... powiedz wszystko... wszystko co wiesz?... Któż był kochanką wice-hrabiego de Mortrée?

Armand wahał się chwilę, potem zbliżył się do hrabiego, i nie spuszczając oczu przed strasznem jego spojrzeniem:

— Pani de Trémeillan, odpowiedział pewnym głosem.

Hrabia przyjął ten straszny cios dość mężnie; tylko twarz jego pobladła bardziej jeszcze, oczy błysnęły ponurym ogniem.

— Muszę dokończyć i powiedzieć panu wszystko czego się dowiedziałem, mówił dalej Armand. Mam list pisany przez hrabinę do pana de Mortrée, który dał mi poznać prawdę, i stanowi dowód niewinności tego nieszczęśliwego Torquenié, skazanego za zbrodnie których nie popełnił nigdy. Wtenczas to zacząłem rozmyślać kto mógł zamordować wice-hrabiego i otruć Maryannę, i nie potrzebowałem zastanawiać się długo aby powziąść przekonanie że ty, panie hrabio, popełniłeś tę podwójną zbrodnię.

— A! doszedłeś pan do podobnego wniosku, rzekł hrabia głuchym i groźnym głosem.

— Czy pan hrabia sądzi jeszcze że powinienbym nie zajmować się tą sprawą i powierzyć ją innemu obrońcy? zapytał Armand.

Twarz hrabiego pobladła więcej jeszcze. Spuścił głowę; oczy jego zdawały się szukać na podłodze jakiegoś punktu oparcia. Potem zdawało się że powziął jakieś rozpaczliwe postanowienie, bo wyprostował się i przybrał zwykłą sobie dumną i pogardliwą postawę.

— A gdyby tak było w istocie, rzekł. Jeźli wice-hrabia de Mortrée wyrządził mi najcięższą zniewagę jaką można komuś wyrządzić: któż mógłby mi wziąść za złe że zemściłem się za to?...

— Ale dla zapewnienia sobie bezkarności, panie hrabio, kazałeś zamordować nieszczęśliwą kobietę, i posłałeś niewinnego na galery...

Hrabia de Trémeillan zadrżał i odwrócił głowę, a następnie upadłszy na fotel, wpadł w ponure zamyślenie, w jakiem pogrążał się tak często.

Armand zrozumiał teraz dla czego pan de Trémeillan był zawsze tak posępnym, i tak stronił od ludzi. Dręczyły go straszne wyrzuty sumienia.

— Powtarzam raz jeszcze, odezwał się hrabia ostrym i przerywanym głosem, przyślij do mnie Jana Torquenié. Ułożę się z nim... Jeźli chce pieniędzy, dam mu ile zażąda... Ale ten list... ten list... kto go panu oddał? Czy go masz przy sobie?... Oddaj mi go... Tak, dodał po chwili z widocznem wysileniem... odgadłeś prawdę! hrabina de Trémeillan zapomniała o swych obowiązkach i ukarałem jej wspólnika. Ale wszakże sam to rozumiesz, że skoro masz zaślubić moją córkę, musisz mi dopomódz do zniweczenia wszelkich śladów tej smutnej sprawy?.. Oddaj mi ten list.

— Pan hrabia mnie nie zrozumiał, odpowiedział poważnie Armand. Jan Torquenié żąda rehabilitacyi a nie pieniędzy, chce aby zdjęto z jego czoła haniebne piętno galernika. chce odzyskać honor który mu wydarłeś. Przyrzekłem dopomagać mu wszystkiemi siłami, i dotrzymam mej przysięgi. Nie zostanę nigdy pana wspólnikiem; a jeżeli to będzie koniecznem, stanę się twym oskarżycielem... Tak, kocham, ubóstwiam, twoją córkę; tak, mojem jedynem, mojem najdroższem marzeniem było nazwać ją moją żoną, i przysięgam że wolałbym umrzéć niżeli jej się wyrzec... Ale w duszy mej odzywa się jeszcze głos inny zagłuszający nawet głos miłości... jest to, panie hrabio, głos sumienia. Jestem po części odpowiedzialnym za twą zbrodnię... Wszakże, jak mi to pan zresztą przypominał przed chwilą, to nieszczęśliwy mój ojciec prowadził śledztwo w tej sprawie, a ulegając już pierwszym objawom choroby która w końcu pozbawiła go życia, postępował z Janem Torquenié tak surowo, że biedak chcąc się wyzwolić od tak ciężkiego prześladowania... przyznał się do zbrodni, których nie popełnił nigdy... Pan hrabia rozumie teraz zapewnie jaki to wkłada na mnie obowiązek... i przysięgam że go spełnię.

Powiedziawszy to powstał, i dodał jeszcze:

— Odchodzę już, panie hrabio; będzie pan mógł przez noc namyślić się co mu teraz czynić wypada.

Wyszedł z salonu, a hrabia nie starał się powstrzymać go ani jednem słówkiem.

W parę minut potem rozległ się turkot odjeżdżającego powozu, hrabia zdawał mu się przysłuchiwać dopóki nie ucichł w ulicy prowadzącej do pałacu. Wtenczas zaszła w nim gwałtowna zmiana. Zerwał się z krzesła, uczucia które powstrzymywał wciągu rozmowy z Armandem, wybuchły teraz nagle.

Przebiegał pokój z jakiemś dzikiem rozdrażnieniem; w każdem jego poruszeniu znać było szalone wzburzenie, a z ust, pobladłych pod wpływem wściekłego gniewu, wysuwały się jakieś urywane słowa czy też krzyki.

Okazywał się w tej chwili takim jakim był w młodości, to jest dziwakiem, impetykiem, popędliwym do najwyższego stopnia, skazującym rzeczywiście nieszczęśliwą swą żonę na ciężkie i ciągłe cierpienia.

Od lat dwudziestu, to jest od czasu spełnienia zbrodni, charakter hrabiego uległ znacznej zmianie. Nie był już tak zapalczywym i rozhukanym jak przed tem; gwałtowność jego zamieniła się w jakieś posępne otrętwienie; żył pod wpływem myśli budzących w nim ciągłą obawę, dręczony dojmującemi wyrzutami sumienia.

I po dwudziestu latach, te ukrywane starannie wyrzuty, wychodziły na jaw, przybierając na siebie postać groźnego niebezpieczeństwa! Zamarła przeszłość wracała do życia; ciemności zamieniały się w jaskrawe światło; co mu się zdawało martwem, powstawało z grobu, co sądził na zawsze zapomnianem, stawało przed nim jako straszna groźba.

Zdawało mu się że przespał te dwadzieścia lat, i obudził się nazajutrz po spełnionej zbrodni, w obec sprawiedliwości żądającej od niego zadośćuczynienia.

Po chwili przerażenia odejmującego mu siły, następowały straszne wybuchy. Wtedy z piersi jego wyrywał się krzyk dziki choć przytłumiony; nie chciał się poddać; żałował że nie przydusił swej tajemnicy w jego gardle.

Szalony gniew wstrząsał całą jego istotą. Jakto! ten Torquenié, ten cham, śmiał go oskarżać! Nie jestże obowiązkiem tej klasy ludzi pokutować za swych panów? Pamięć jego karmiona przesądami feodalnemi i nadużyciami, przypominała mu czasy, w których podobny motłoch oddawał pokornie panom swe żony, honor i życie. Oburzał się jak rozzłoszczone dziecko na wypadki i ludzi, którzy ośmielili się zmienić tak błogi stan rzeczy.

Nagle, jak gdyby mu zaświtała jakaś myśl zbawcza, jakby staczając się w przepaść znalazł sposób ratunku, poskoczył do dzwonka i zadzwonił gwałtownie.

Przybiegł służący.

— Proś panny de Trémeillan, aby tu przyszła zaraz, zawołał hrabia.

Następnie usiadł na swem zwykłem miejscu, usiłując stłumić wrzące w nim uczucia.

Gdy Małgorzata ukazała się na progu salonu z wyrazem błogiego spokoju na swej pięknej twarzy, hrabia de Trémeillan przybrał już zwykłą sobie postawę, jakby nie spotkało go nic nadzwyczajnego.

XVIII.

Nazajutrz, bardzo jeszcze rano, stary Baptysta oznajmił panu z trochę tajemniczą miną, że ktoś pragnie z nim pomówić.

Armand d'Arçay był już w swym gabinecie,

przeglądając może po raz dwudziesty papiery dotyczące tej nieszczęsnej sprawy, z powodu której ucierpiał już tak wiele.

Baptysta wahał się chwilę spotkawszy pytające spojrzenie pana, a następnie, jakby nie mogąc utrzymać dłużej powierzonego mu sekretu, odpowiedział:

— To panna de Trémeillan czeka na pana.

— Małgorzata! zawołał Armand blednąc.

Otworzył prędko drzwi wychodzące na boczne schody, które prowadziły wyłącznie do jego gabinetu. Małgorzata ukazała się w nich natychmiast, ale siły opuściły ją nagle, padła na pół zemdlona na najbliższy fotel.

— Odejdź, rzekł Armand do starego Baptysty, a nadewszystko nie wspominaj o tem nikomu.

Gdy pozostali sami, ukląkł przy nogach Małgorzaty, i uchwycił jej drżące i zimne rączki. Bolesne wzruszenie opanowało jego serce; lękał się odgadnąć prawdy, a pomimo to domyślał się co jest powodem że Małgorzata blada i drżąca przybyła do niego o tej porze. Zrozumiał że hrabia de Trémeillan chwycił się ostatnich środków, i był dość nikczemnym aby zasłaniać się puklerzem który powinienby uważać się za święty i nietykalny.

Małgorzata usiłowała zapanować nad swem wzruszeniem. Położyła rękę na ramieniu klęczącego przed nią Armanda, i rzekła wpatrując się w niego oczyma błyszczącemi łzami.

— Dla czego nie kazałeś wczoraj zawiadomić mnie o twej bytności w Albrays?

— Więc powiedziano ci że tam byłem? zawołał Armand blednąc.

— Tak, wiem wszystko.

Armand zadrżał.

— Jakto! więc ojciec uwiadomił cię?...

— O wszystkiem! odpowiedziała Małgorzata z przytłumionem łkaniem.

— Ale to być nie może! zawołał Armand, w którym nawet myśl podobna budziła niewysłowione oburzenie, nie mógł powiedzieć ci...

— Wszystko, powtarzam, wszystko... okazał się nielitościwym... Nie uszanował mej nieświadomości... zdeptał moje najświętsze uczucia, moje najdroższe wspomnienia...

Pochylając głowę z wyrazem rozdzierającej serce rozpaczy, wybuchła długo powstrzymywanem łkaniem, a łzy które wylewała już przez całą noc, popłynęły znów po jej twarzy.

Armand klęczał przed nią jak skamieniały, niezdolny przemówić ani też znaleźć choćby słówka pociechy.

— O! mój Boże! mój Boże! wyszeptała z boleścią Małgorzata przyciskając ręce do czoła, byłam zbyt szczęśliwą, i nie mogło to trwać długo... I to ty, ty Armandzie zadajesz mi cios tak straszny!!! Jakiż szatan nasunął ci myśl podobną?... Dla czego podjąłeś się być oskarżycielem mego ojca?... O, chyba nie kochałeś mnie nigdy!... W sercu mojem panowały dwa uczucia, mówiła dalej rozdzierającym głosem, — miłość dla matki i dla ciebie!... Obydwa te uczucia zwiędły, straciły swój urok.. Matka moja nie była istotą czystą i świętą jak ją sobie przedstawiałam, a ty poświęciłeś mnie, jakby obcą ci zupełnie, pierwszemu żebrakowi który zawezwał twej pomocy. Co się z tobą stało?... Nie mogę tego zrozumiéć... nie mogę tłomaczyć sobie tego inaczej, jak tylko ze mnie nie kochasz, że nie kochałeś mnie nigdy!...

Wzruszenie Małgorzaty było tak gwałtowne, iż zdawało się niepodobieństwem uspokoić ją i uśmierzyć jej rozpacz. Jednak Armand pragnął usprawiedliwić się przed nią.

Ale czyż to biedne dziewczę zdoła zrozumieć wymagania obowiązku, w chwili gdy namiętność opanowała całą jej istotę?...

Armand czuł że chcąc pocieszyć taką boleść, powinien najpierw przemówić w obronie tej matki, której pamięć była tak drogą Małgorzacie, a którą hrabia de Trémeillan nie wahał się zniesławić w oczach córki. Zrozumiał całą doniosłość tego kroku. Chcąc się bronić i przygłuszyć ten groźny dla niego głos przeszłości, hrabia powiedział wszystko Małgorzacie. Nie zataił przed nią ani winy jej matki, ani kary jaką wymierzył jej wspólnikowi. Następnie, wspomniawszy zaledwie o nieszczęśliwym który został skazanym zamiast niego, dodał, że Armand chce wskrzesić tę sprawę, stać się jego oskarżycielem. Prócz tego, znając cześć Małgorzaty dla pamięci tej matki której nie znała wcale, przedstawił jej że jeźli sprawa zostanie wznowioną, hrabina de Trémeillan zostanie zniesławioną publicznie; że jej upadek, ukrywany tak starannie przez dwadzieścia lat, stanie się teraz jawnym; trzeba więc zapobiedz temu, udać się do Armanda i skłonić go do oddania dowodów jakie posiadał.

Małgorzata przebyła noc straszną; nie mogła pojąć jaki szał opanował jej narzeczonego; przyszło jej w końcu na myśl że jej nie kochał, i chciał rozpocząć ten skandaliczny proces, aby połączenie ich stało się niemożliwem.

Nieszczęśliwa dziewczyna przebyła długie i straszne męczarnie, gorzkie łzy płynęły po jej twarzy, ciężkie łkania szarpały piersi. Gdy dzień zaświtał nakoniec, ubrała się śpiesznie, kazała zaprządz i pojechała błagać Armanda aby zaniechał swego zamiaru.

— Posłuchaj mnie, ukochana moja, rzekł Armand, przytulając jej głowę do swego ramienia. Pozwól mi się usprawiedliwić, pozwól mi stanąć w obronie dwóch jedynych przedmiotów twej miłości: w obronie twej matki i twego narzeczonego.

Znał z opowiadania swej matki okoliczności odnoszące się do małżeństwa hrabiego de Trémeillan, wiedział że związek ten stał się dla hrabiny nieporównanem pasmem ciągłych i ciężkich udręczeń. Uwiadomił więc Małgorzatę o tych wszystkich szczegółach o których dotąd nie wspominał jej nigdy.

— Małgorzato, rzekł, mówiłaś nie raz do mnie że przekładałabyś śmierć nad związek z człowiekiem którego nie mogłabyś kochać. Czy więc pojmujesz co musiała cierpieć twoja biedna matka, wydana zamąż w skutku układów familijnych, w których nie brała żadnego udziału; zaprowadzona do ołtarza prosto z klasztoru? Matka twoja posiadała charakter łagodny i tkliwy, więc nawet i w takich warunkach przywiązałaby się do męża gdyby ten okazywał jej choć trochę serca, a przynajmniej gdyby był dobrym dla niej. Na nieszczęście, oddano ją człowiekowi z charakterem ostrym, surowym, popędliwym, z sercem zimnem, nieczułem na wszelkie tkliwe i słodkie wzruszenia. Po za obrębem politycznych wyobrażeń, które dzięki odebranemu przez niego wychowaniu zamieniły się w rodzaj fanatyzmu, nie ma w sercu twego ojca ani jednej czulszej struny. Co więcej, w skutek przestarzałych i zgubnych przesądów, widzi w kobiecie istotę niższą, podrzędną, skazaną na bierną rolę automatu, któremu wolno poruszać się tak tylko jak go nakręcą.

„Przeznaczeniem kobiety kochać i być kochaną, dla tego też, Małgorzato, matka twoja była tu mniej winną niż bezrozumne i szkodliwe zwyczaje społeczne, czyniące z małżeństwa jakiś rodzaj handlu czy kontraktu w którym serce nie ma żadnego znaczenia. Jeźli więc podobny związek wywoła nieszczęśliwe następstwa, główna odpowiedzialność za to spada na rodziców, którzy sprzedali swoje dziecko za pieniądze lub tytuły.

„Gdybyś ty już żyła, matka twoja byłaby cierpliwie dźwigała krzyż swój do końca życia, jak to sama wyraziła w liście który czytałem, ale była sama na świecie, sama z człowiekiem surowym, zapalczywym, zapominającym często w stosunkach z nią o wymaganiach najprostszej grzeczności, budzącym w niej tylko odrazę i obawę. Uległa uczuciu które opanowało jej serce; zawiniła, ale też następnie ciężko odpokutowała za to.

— W miarę jak Armand mówił, Małgorzata podnosiła czoło; łzy drżały już tylko na jej rzęsach, i utkwiła oczy w twarzy narzeczonego, chwytając chciwie słowa jego, sprawujące na niej głębokie wrażenie.

— Jesteś bardzo dobrym, rzekła ściskając rękę Armanda. Starasz się zagoić ranę którą mi zadano.

Umilkła, a następnie odezwała się znowu:

— Bądź i nadal równie dobrym; wyrzecz się nieszczęsnej myśli wytoczenia sprawy mojemu ojcu.

— Wszakże wiesz, droga moja Małgorzato, że ten człowiek spędził dwadzieścia lat życia na galerach, że teraz upomina się głośno, uporczywie, o swą rehabilitacyę i że ma prawo upominać się o nią.

— Ah! nie kochasz mnie! zawołała z rozpaczą Małgorzata; bo czy mógłbyś kochając, cenić wyżej interes jakiegoś obcego ci człowieka, nad moją przyszłość, miłość i nad moje życie!...

— Widzę że pan de Trémeillan nie powiedział ci wszystkiego, Małgorzato, rzekł poważnie Armand.

Uwiadomił ją następnie jaki udział ojciec jego miał w tej nieszczęsnej sprawie, przedstawił jej że byłby człowiekiem nikczemnym, niegodnym jej miłości, gdyby odmówił pomocy nieszczęśliwemu błagającemu go o nią.

— Zresztą, mówił dalej, czy nie zwróciłaś na to uwagi, że nawet dla dobra twego ojca muszę podjąć się tej sprawy. Nie można nawet myśléć o zaspokojeniu Jana Torquenié pieniędzmi; nie wyrzecze się myśli która nie odstępowała go ani na chwilę przez lat dwadzieścia. Pragnie odzyskać poczciwe imię wydarte mu niesłusznie, i nie odstąpi od tego zamiaru. Jeźli ja odmówię mu mego współudziału, poszuka innego obrońcy, a ten nie mając takiego jak ja powodu unikania rozgłosu, postara się aby sprawa narobiła jak najwięcej wrzawy. Imię twej matki, której pamięć jest ci tak drogą, będzie rzucone na pastwę bezmyślnej gawiedzi; wina jej, którą zmniejsza tyle łagodzących okoliczności, będzie przedstawioną jako zwyczajny upadek nieuczciwej kobiety.

— Ah, Armandzie! Armandzie! nie mów tego... Moja matka!... moja biedna matka!...

Głowa biednej Małgorzaty zanoszącej się od płaczu, opadła znów na ramię narzeczonego.

— Widzisz więc, ukochana moja, że musimy uchronić się od podobnego nieszczęścia za jakąbądź cenę. Winny będzie zmuszony zrobić pewne poświęcenie...

— Jakie?

— Trzeba koniecznie aby ojciec twój opuścił Francyę. Rozmyślałem nad tem długo, i sądzę że nie można znaleźć lepszego środka nad ten który ci przedstawiam. Niech więc hrabia wyjedzie jak najśpieszniej, a sprawa Jana Torquenié będzie przeprowadzoną już w czasie jego nieobecności, zręcznie i bez żadnego rozgłosu. Wilczyca była

z pewnością wspólniczką twego ojca, jako istota ślepo do niego przywiązana i której mógł zaufać zupełnie. Na nią też spadnie prawdopodobnie najcięższa wina: otrucie Maryanny. Ojciec twój będzie tylko odpowiedzialnym za zabicie wice-hrabiego de Mortrée, ale dla zmniejszenia jego winy będzie można przedstawić że działał pod wpływem szalonego gniewu, który musiała w nim wzbudzić tak straszna zniewaga. Wyszukamy mu adwokata który oprze na tem głównie swą obronę, oszczędzając o ile tylko będzie można pamięć twej matki.

Prawdopodobnie pan de Trémeillan zostanie skazanym tylko na jakąś lekką karę, od której uchroni się nie wracając do kraju. Przedstaw mu to wszystko, Małgorzato, powiedz że zamiast mnie oskarżać, powinienby się cieszyć że ta sprawa dostała się w moje ręce; powiedz mu nadewszystko aby wyjechał jak najprędzej.

Małgorzata siedziała czas jakiś milcząca i zamyślona. Znajdowała się w tak niezwykłem i tak bolesnem położeniu, tyle przecierpiała w ciągu tej nocy, że czuła się tak znękaną iż nie mogła nawet zebrać myśli.

— Muszę cię już pożegnać, rzekła wstając; zostaw mi choć jeden dzień do namysłu. Czuję jakiś zamęt w głowie... Nie mogę utrzymać się na nogach...

Zachwiała się rzeczywiście, i byłaby upadła gdyby jej Armand nie powstrzymał.

— Małgorzato, Bóg zsyła na nas ciężką próbę. Byliśmy nazbyt szczęśliwi, życie upływało nam zbyt słodko i spokojnie, i nieszczęście to spadło na nas jakby piorun z nieba pogodnego, przerywając nasze błogie marzenia. Czy sądzisz że ja także nie przeszedłem bolesnej walki, że nie doznawałem najsroższych męczarni na myśl że może przestaniesz kochać tego, któremu los zawistny każe być oskarżycielem twego ojca? Jednak nie cofnąłem się i nie cofnę nadal przed spełnieniem obowiązku, choćby mnie to najwięcej kosztować miało. Chcę tylko abyś wiedziała, ukochana moja, że cokolwiek nastąpi, nie przestanę cię kochać, ubóstwiać, i będę zawsze dumnym z tego jeźli zechcesz nosić moje nazwisko.

— Ah! ty kochasz mnie... kochasz!... zawołała opierając głowę na ramieniu narzeczonego. O! powtórz mi to raz jeszcze!.. Tak, masz słuszność, to los zawistny zadaje nam cios tak srogi... Przebacz że zwątpiłam o tobie... Czułam że mnie kochasz gdy mówiłeś o mej biednej matce... A więc spełnij twój obowiązek, Armandzie, dodała po chwili z ciężkiem westchnieniem.. Liczę na to że przez miłość dla mnie, uchronisz mego ojca od zbyt wielkich cierpień... Znasz jak jest dumnym... wyrok hańbiący mógłby go zabić...

— Bądź o niego spokojną, moja ukochana; staraj się tylko powtórzyć mu dokładnie co ci powiedziałem. Namów hrabiego aby jak można najspieszniej opuścił Francyę; wiesz dla czego głównie żądam tego; obawiam się jego gwałtowności...

Słońce zaczęło już podnosić się w górę, i musieli się rozłączyć. Armand zadzwonił na Baptystę, i kazał mu odprowadzić pannę de Trémeillan bocznemi schodami, aby pani d'Arçay nie mogła się z nią spotkać. Doznał prawdziwej ulgi widząc że Małgorzata odjeżdża od niego znacznie spokojniejsza. Przyrzekła mu że napisze do niego, i doniesie o postanowieniu hrabiego de Trémeillan.

XIX.

Są na świecie szczęśliwe istoty zdające się przechodzić przez życie z zawiązanemi oczyma, nie domyślając się wcale że koło nich odgrywają się bolesne dramata lub dzieją się straszne wypadki. Jakaś martwa odwaga służy im w razie nieszczęścia za puklerz, na którym przytępiają się pociski najdotkliwszej boleści. Potrzebują koniecznie spokoju, wesołości, swobodnej myśli, i skoro raz zdobyły to bierne szczęście, zamykają się w niem, zasklepiają, odwracając instynktownie oczy od wszystkiego co by je zakłócić mogło.

Do liczby takich istot zaliczała się pani d'Arçay, i było w tem coś prawdziwie zadziwiającego, że tak dobra i tkliwa matka mogła wieść życie swobodne i spokojne, wśród bolesnych wypadków które mogły podkopać szczęście, a nawet życie jej syna.

Pędziła jak dawniej wolne od trosk życie kobiety majętnej i zajmującej wyższe stanowisko, oddając się zajęciom domowym i wglądając w drobne nawet szczegóły gospodarstwa, myśląc tylko o zapewnieniu swemu kochanemu Armandowi, gdy się ożeni, życia przyjemnego, wolnego od wszelkich trosk. Szła prosto przed siebie tą spokojną drogą, nie oglądając się na prawo ani na lewo, nie widząc zmarszczek które troski sprowadzały na czoło syna; zawsze uśmiechnięta, zawsze zadowolniona, myślała ciągle o zbliżającym się dniu mającym urzeczywistnić marzenia Armanda i zapewnić mu szczęście.

To pragnienie szczęścia nadawało jej pewną siłę charakteru, dozwalająca jej przebyć szczęśliwie ciężkie próby które złamałyby życie każdej innej kobiety. Przez kilkanaście lat patrzyła na wolne konanie człowieka którego kochała, ale w ciągu tej długiej moralnej katuszy podtrzymywała ją zadziwiająca odwaga, oparta na nieprzezwyciężonej niczem nadziei, niezachwianej nawet wyrokami lekarzy, ani nawet najwidoczniejszemi faktami.

Armand nie chciałby za nic w świecie zamącić tego jej błogiego spokoju, i dla tego usiłował w obecności matki ukrywać swój smutek i dręczące go myśli; jednak nie zawsze mu się to udawało. Szczęściem że pani d'Arçay, dzięki wrodzonemu sobie optymizmowi, przypisywała innym powodom częste i głębokie zamyślenie syna. Widząc go pogrążonego w głębokiej zadumie, więcej milczącego jak zwykle, sądziła że marzy o swej miłości i zbliżającym się dniu ślubu.

Armand był jeszcze bardziej milczącym i zadumanym przy śniadaniu, w dniu w którym tak niespodziewanie ujrzał u siebie Małgorzatę, a matka spoglądała tylko na niego z uśmiechem nie przerywając mu wcale rozkosznych jego, jak mniemała, marzeń.

Przy końcu śniadania Baptysta oddał Armandowi list, który wręczono mu w tej chwili. Pani d'Arçay spojrzała na kopertę, i poznała na niej pismo Małgorzaty. Pobłażliwy uśmiech rozjaśnił znów jej twarz łagodną, na której nie było najlżejszego śladu zadziwienia, albowiem narzeczeni pisywali czasem do siebie, jeźli którego dnia nie mogli się widzieć. Pani de Arçay była pewną że odgaduje treść tego listu, i gdy Armand przeczytawszy go, wstał od stołu, powiodła za nim trochę żartobliwem spojrzeniem.

Wyszedłszy z sali jadalnej, Armand przeczytał powtórnie list Małgorzaty, w którym znalazł same tylko smutne wiadomości.

Przeczytajmy go wspólnie z nim:

„Mówiłam już z ojcem; nie chce wyjechać. Oświadczył mi że nie ruszy się z domu, a gdy stanie przed sądem, przedstawi wszystko co może służyć na jego obronę. Wszelkie moje prośby i błagania nie zdołały zachwiać jego postanowienia. Był dla mnie jeszcze surowszym i ostrzejszym jak zwykle. Gdy mówił o mej matce, oczy jego błyszczały ogniem nienawiści, i rzucał na mnie tak straszne spojrzenia jakbym była odpowiedzialną za to co się stało. Armandzie, ratuj mnie, ratuj pamięć mojej matki! Wyrzecz się tej sprawy, namów Jana Torquen é aby od niej odstąpił; niech poprzestanie na wynagrodzeniu pieniężnem; niech opuści te strony. Oddam mu wszystko co posiadam, byle tylko uchronić pamięć mej matki. Odpisz mi, pociesz mnie, uspokój... Nie możesz nawet wyobrazić sobie ile już wycierpiałam; niechże przynajmniej nie cierpię przez ciebie, drogi mój Armandzie. Miej litość nade mną; pamiętaj że nie byłam wspólniczką tych zbrodni, i nie każ cierpieć tak strasznie tej, która oddała ci całe swe serce.

Małgorzata."

Armand czytał ten list ze łzami w oczach, a serce jego ścisnęło się boleśnie. Nie mógł uwierzyć temu co czytał; przebiegł kilka razy oczyma te słowa skreślone z gorączkowym pośpiechem.

Tak więc pan de Trémeillan dla usprawiedliwienia siebie, gotów był oskarżyć kobietę, która zawiniła wprawdzie ciężko, ale do której upadku przyczynił się wiele swem postępowaniem, przyprowadzając ją do rozpaczy. Czy skłaniała go do tego obawa czekającej go kary, czy też chęć pomszczenia się na tej nieszczęśliwej za wyrządzoną mu zniewagę?

Armand znał już tak dobrze usposobienie pana de Trémeillan, że drugie przypuszczenie zdawało mu się prawdopodobniejszem. Charakter tego na pół okrzesanego szlachcica, był pod wielu względami wiernem odbiciem charakteru większej części prostych wieśniaków. Jakkolwiek postępował ze swymi służącymi jak prawdziwy despota, przecież pomimo swej pogardliwej pychy, pomimo swych arystokratycznych uroszczeń, łatwo było pod ogładzoną powierzchnią, znaleźć gburowatego chłopka. Posiadał jego zwierzęcą gwałtowność, głuchą zawziętość, chytrość i samolubstwo.

Po rozmowie z Armandem, poznał od razu w jak niebezpiecznem znajduje się położeniu, i obmyślił natychmiast plan postępowania, zapewniający mu korzystne stanowisko w walce z tym niespodziewanym przeciwnikiem.

Dotąd nie przyszło mu nigdy na myśl aby Armand mógł wystąpić przeciwko niemu. Niepokoiły go wspomnienia przeszłości, myśl o popełnionej zbrodni przejmowała go niekiedy straszną obawą, ale nie przypuszczał nigdy aby ten rozmarzony i sentymentalny młodzieniec, zatopiony całkiem w swej pierwszej miłości, mógł stać się kiedyś jego oskarżycielem.

Taż sama przebiegłość i chytrość hrabiego jakiej dał już dowody, układając tak rzeczy że w jego miejscu skazano człowieka zupełnie niewinnego, objawiła się powtórnie gdy zezwolił na związek Armanda z Małgorzarą.

Armand słusznie zwracał na to uwagę narzeczonej, że ani starożytnością rodu, ani majątkiem nie dorównywał hrabiemu de Trémeillan, ale mylił się sądząc że hrabia oddał mu rękę Małgorzaty, wzruszony głęboką jego dla niej miłością. Rzeczywistym tego powodem było, że wszyscy w ogóle prawnicy przejmowali pana de Trémeillan obawą połączoną z poszanowaniem, jaką budzą w prostych wieśniakach, a zwłaszcza w nieposzlakowanym zbyt czystego sumienia. Spodziewał się że gdyby kiedykolwiek sprawiedliwość zechciała go niepokoić, zięć stanąłby po jego stronie i bronił wszelkiemi siłami.

Łatwo wyobrazić sobie jak szalonym zapałał gniewem, widząc się zagrożonym przez tego właśnie, w którym miał nadzieję znaleźć najsilniejszą

podporę. Pomimo to potrafił zapanować nad sobą i nie okazać miotającego nim gniewu.

Zamiast postawić się hardo oskarżycielowi, odpierać jego zarzuty, wypierać się gwałtownie, co mogłoby go pobudzić do nagromadzenia jak największej liczby dowodów, wolał uciec się do podstępu. Pomiędzy sobą i Armandem postawił Małgorzatę, nie zważając na to że może tym sposobem zadać jej cios śmiertelny. Był pewnym że Armand nie zdoła zakrwawić serca tej, którą ubóstwiał, i że Małgorzata widząc iż honor jej matki jest zagrożonym, nie dozwoli Armandowi wznowić tej sprawy. Dla tego uczynił jej to wstrętne zwierzenie; dla tego to nie wahał się zadać jej tak strasznego ciosu, rozdzierając poetyczną zasłonę jaką otaczała pamięć swej zmarłej matki.

Utworzył sobie puklerz z dziecięcego przywiązania Małgorzaty i z gorącej miłości Armanda dla narzeczonej. Był to plan nie zbyt szlachetny, ale zręcznie ułożony.

Rachował na to z pewnością, że d'Arçay po widzeniu się z Małgorzatą wyrzecze się niedorzecznej myśli wznowienia tej przestarzałej sprawy, że miłość zagłuszy głos tego obowiązku o którym wyrażał się tak szumnie. To też wpadł w prawdziwą wściekłość gdy córka powiedziała mu, że Armand nie chce odstąpić od zamiaru uniewinnienia Jana Torquenié i wskazania prawdziwego zabójcy. I teraz jednak, dzięki nadludzkim prawie usiłowaniom, zdołał poskromić gwałtowność swego charakteru, mogącą go popchnąć do jakiegoś barbarzyńskiego czynu, względem biednej Małgorzaty, która stała przed nim drżąca i blada.

Nie chciał wyrzec się swego postanowienia; nie chciał uznać się zwyciężonym i ratować ucieczką, jak mu to radził Armand. Z dziwnym uporem i zaciętością trzymał się tego przekonania, że Armand nie ośmieli się posunąć rzeczy do ostateczności, i że Małgorzata dla ocalenia honoru matki użyje całego swego wpływu, aby skłonić narzeczonego do przytłumienia sprawy Jana Torquenié.

XX.

Armand zszedł do ogrodu po odczytaniu listu narzeczonej, i usiadł na ocienionej ławeczce, szukając w myśli sposobu wyjścia z tak ciężkiego i trudnego położenia.

Czuł się złamanym, przygnębionym tylu bolesnemi wzruszeniami. Zadawał sobie pytanie czy będzie miał siłę dotrwać do końca. Obowiązek który przyjął na siebie z tak szlachetną odwagą, zdawał mu się teraz za ciężkim na jego ramiona. Opanowało go straszne zniechęcenie. Oburzał się na niesprawiedliwość przeznaczenia, dotykającego niewinnych strasznemi następstwami zbrodni w których nie mieli udziału.

Przychodziło mu na myśl uciec z Małgorzatą, zaślubić ją potajemnie, i ukryć się wraz z nią w jakiemś schronieniu, w którem złowrogie głosy przeszłości nie mogłyby zamącić ich szczęścia. W całej jego postawie znać było głębokie przygnębienie; siedział z głową pochyloną zakrywszy oczy ręką; gdy ją opuścił, spostrzegł przed sobą na piasku jakiś cień szary i długi.

Podniósł z żywością głowę i zobaczył Jana Torquenié, ubranego czysto i przyzwoicie, z kapeluszem w ręku. Czekał w postawie pełnej uszanowania, aby młody jego obrońca rozbudził się z zadumania.

Niespodziewana obecność byłego galernika, zgadzała się tak dokładnie z myślami przygniatającemi Armanda, że zerwał się nagle z okrzykiem zadziwienia, jak gdyby ujrzał widmo wywołane przez siebie.

— Po co tu przychodzisz? zapytał niespokojnie.

To niezbyt przychylne powitanie nie zmieszało Jana Torquenié.

— Powiedziano mi, rzekł zbliżając się do Armanda, że to panu zawdzięczam pozwolenie zamieszkania w tem mieście; jest to nowe dobrodziejstwo za które dziękuję panu z całego serca.

Nie odbierając żadnej odpowiedzi, dodał:

Zechciej mi pan dać jeszcze jeden dowód swej dobroci; zechciej mi powiedzieć czy mogę mieć nadzieję że moja sprawa rozpocznie się wkrótce. Czy pan się nią zajmował? Czy znalazłeś rzeczywistego winowajcę? A! panie, od dziesięciu dni, to jest od owego wieczoru w którym miałem szczęście spotkać pana w Evreux, oczekiwałem ciągle twego listu i posłałem panu mój adres. Czy pan go odebrał?

— Tak, odebrałem, rzekł Armand, który pomimo swych własnych cierpień, ubolewał szczerze nad tym biedakiem; ale sam to pojmujesz zapewnie, że po dwudziestu latach, niepodobna w ciągu kilku dni wykryć winowajcę który popełnił zbrodnię. Poszukiwania muszą jeszcze potrwać czas jakiś.

Następnie, chcąc pocieszyć biedaka i zwrócić jego myśli na inny przedmiot, skinął na ogrodnika znajdującego się w pobliżu, i szepnął mu coś do ucha.

Ogrodnik pobiegł natychmiast do oficyny przeznaczonej na mieszkania dla służby, i wkrótce potem wyszła z niej młoda dziewczyna, skromnie ubrana. Zatrzymała się chwilkę i zdawała się wahać, a następnie zwróciła się prędko ku miejscu w którem znajdował się Armand i Torquenié.

Szła tak lekko, tak ostrożnie, że stanęła już za Janem Torquenié, a on zajęty swemi myślami nie domyślał się nawet jej obecności.

Wahała się znów chwilę; zachęcający uśmiech Armanda dodał jej odwagi.

— Ojcze, rzekła stłumionym głosem.

Jan Toquenié zadrżał, odwrócił się nagle i zawołał z niepodobnem do opisania wyrazem:

— Joanna!... Joanna!... moja córka!...

Joanna rzuciła się w jego objęcia; przycisnął ją do piersi pokrywając pocałunkami jej twarz i czoło.

— Przebacz mi!... przebacz! mój biedny ojcze, mówiła Joanna ze łzami. Sprawiłam ci tyle cierpienia... nie wiedziałam... Byłam tak nieszczęśliwą!...

— O! mój Boże! jakaż to dla mnie radość, jakie szczęście!... wołał Torquenié, płacząc i śmiejąc się zarazem. Myślałem że cię już nigdy nie zobaczę!... Myślałem że jesteś biedną, prześladowaną.. tyś taka piękna, szczęśliwa, i nie odpychasz mnie już od siebie... Ah! panie, tobie także zawdzięczam i tę tak wielką, niewysłowioną radość... Być tak szczęśliwym po tylu przebytych cierpieniach... O! to nad moje siły...

Upadł na stojącą pod drzewem ławeczkę, na której Armand siedział przed chwilą, pobladł ze wzruszenia i oddychał z trudnością. Joanna zdjęła mu z szyi krawat i rozpięła surdut aby prędzej przyszedł do siebie.

Posadził ją wtenczas przy sobie, przycisnął znów do piersi, i złożył długi pocałunek na jej czole. Potem pozostał długo nieruchomy, zapatrzony w przestrzeń. Zapewnie przebiegał myślą długie lata hańby i udręczeń, i nie mógł uwierzyć w rzeczywistość takiego szczęścia.

Armand, sam głęboko wzruszony, chciał aby ci biedacy mogli się spokojnie nacieszyć sobą i swem szczęściem, i pożegnał ich skinieniem głowy. Zanim jednak odszedł, powiedział Janowi Torquenié że może mu udzielić jeszcze jednej dobrej wiadomości, to jest że pan Rousseau wrócił także w tym czasie do Rennes, i wskazał mu gdzie mieszka.

— Odwiedzę go chętnie, panie, rzekł Jan Torquenié, ponieważ okazał się kiedyś bardzo dobrym dla mnie... ale pragnę aby pan był moim obrońcą. Ah! panie, łzy płyną mi z oczu... ale są to łzy błogie, łzy radości Nie potrafię nigdy wypowiedzieć jak jestem szczęśliwy, jak głęboką czuję dla pana wdzięczność... Moja Joasia!

Wpatrywał się długo w córkę, potem dodał poważnie:

— Gdyby biedna jej matka żyła jeszcze, sądziłbym że to ona jest przy mnie... zadziwiające podobieństwo.

Armand wszedł do domu i udał się do matki. Chciał być koniecznie bliżej Małgorzaty w tak bolesnych dla niej okolicznościach; chciał być gotowym na wszelkie wypadki, zwłaszcza teraz, gdy niezadługo miało nastąpić rozwiązanie strasznego dramatu, w którym był zmuszony przyjąć czynny udział.

Prócz tego czuł że powinien być blizko hrabiego de Trémeillan, i zwrócić uwagę na jego postępowanie. Prosił więc matki aby pojechała wraz z nim na kilka dni, do pałacu de Mesnil, będącego ich własnością.

— Czy zdaje ci się że zbyt oddalonym jesteś od niej? zapytała syna ze swym łagodnym i spokojnym uśmiechem. Dobrze, pojedziemy jutro! Czy chciałbyś tam być prędzej jeszcze? dodała spostrzegłszy pewne niezadowolnienie na twarzy Armanda; jeźli tak, możemy pojechać dziś jeszcze.

— Ah! jakże jesteś dobrą, droga moja matko, zawołał, całując ręce pani d'Arçay.

Zajęli się natychmiast przygotowaniami do drogi; w dwie godziny później byli już w Mesnil.

Armand widział się jeszcze przed wyjazdem z Janem Torquenié, powiedział mu że może przybyć do Mesnil wraz z córką skoro tylko zechce, i obiecał dać im pomieszkanie w pałacu.

XXI.

Armand, zaraz po przybyciu do Mesnil, udał się do swego pokoju, który dawniej był tak często świadkiem jego miłosnych marzeń, i napisał do Małgorzaty, donosząc że się znajduje tak blizko niej.

Jednocześnie uwiadomił ją że pragnie widzieć się z nią tegoż jeszcze wieczora, aby mogli obmyśléć wspólnie co im czynić wypada w tak ciężkiem i bolesnem położeniu; a w końcu dodał że czekać na nią będzie pod wielkim cedrem, znajdującym się na jednym z trawników w parku d'Albrays, gdzie stała ławeczka, na której siadali często w pogodne letnie wieczory.

Tegoż samego dnia, po zachodzie słońca, Torquenié przybył wraz z córką do Mesnil. Zostawił córkę w parku, sam zaś udał się do Armanda. Na twarzy jego malowało się bardzo silne wzruszenie.

— Ah! panie, zawołał, gdy go wpuszczono do Armanda, wiem wszystko; pan Rousseau wszystko mi powiedział... Wiem teraz jak wielkie czyni pan poświęcenie, podejmując się być moim obrońcą... ale ja nie przyjmę takiego poświęcenia.

— Więc wyrzekasz się wytoczenia tej sprawy? zapytał Armand, któremu zabłysła na chwilę nadzieja że może skończą się jego męczarnie.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 5.

(Dokończenie.)

N. 32. Suknia z haftowanym zwierzchnim staniczkiem.

Dwa rodzaje materyału użyte są na to ubranie: spódnica przykryta trzema w kontrafałdy ułożonemi wolantami i krótki hiszpański staniczek są z gładkiego materyału, a stanik bawetowy i panier z materyału deseniowego; wykrój szyi wszyty w kołnierzyk stojący 4 cent. szeroki; przy rękawach dane mankiety ścięte w zęby, a przy ramionach rodzaj epoletek oszytych frendzlą z perełek. Brzegi zwierzchniego staniczka są w około haftowane perełkami i oszyte frendzlą.

N. 33. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 17 w N-rze 4.

Kaszmir w skośną kratę koloru niebieskawo-zielonego i oliwkowy plusz stanowią materyał na ubranie, złożone ze spódniczki fałdowanej i długiego staniczka, którego przody założone są przy zapięciu w płaskie fałdy, a brzeg dolny oszyty skośną plisą pluszową 15 cent. szeroką, związaną z przodu sznurem z kwastami a z tyłu przepiętą wielką kokardą. Kołnierz wykładany związany sznurem i mankiety pluszowe. Do wyjścia może być dodana pelerynka, jak na ryc. 17 w N-rze 4, przestębnowana cztery razy u dołu; z tyłu liczy 23, z przodu 20 cent. długości.

Opis do N-ru 6.

N. 1—2. Dwie krótkie balowe toalety.

N. 1. Suknia ze stanikiem z bawetem.

Krótka różowa tarlatanowa spódnica ogarnirowana jest w koło plisowanemi falbankami, które na przednim brycie naszyte są kliniasto aż do góry, przepinane w równych odstępach pukielkami z atłasowej wstążki; prócz tego część przodu i lewy bok spódnicy zdobi podwójna, a bok prawy potrójna draperya z tarlatanu i atłasu. Prosty 150 cent. szeroki bryt odwracanym sposobem naszyty, upięty jest w odstające bufy z tyłu na spódnicy. Stanik atłasowy z bawetem zdobi berta garnirowana koronką, do której z przodu dodana fałdowana atłasowa szmizetka, czyli plastron, którego koniec poniżej berty przepięty jest kokardą ze wstążki i ułożony w bufę przykrywającą bawet.

N. 2. Suknia ze stanikiem do paska.

Na modelu spódnica i draperye były z żółtawej gazy, a stanik do paska i fałdowana berta z takiegoż atłasu. Dół spódnicy ogarnirowany plisowanemi falbankami i bufą z nagłówkami, na przodzie i bokach ułożona w sute fałdy draperya fartuszkowa. Bryt prosty 3 metry szeroki a 175 cent. długi, upięty jest z tyłu w górze w wielką sutą bufę, od której zbywający koniec, u dołu wstawką koronkową ozdobiony, ułożony jest w płasko zaprasowane fałdy. Berta garnirowana koronką.

N. 5—6. Serweta na stół z koronką macramé ozdobioną lekkim haftem. Deseń koronki ze wskazaniem rozpięcia nici na arkuszu z formami fig. 81—82.

Serweta z popielatej kanwy Aïda, trzymająca w kwadrat 192 cent., ozdobiona była wstawką i koronką macramé, robioną z grubych popielatych nici na klockach i wyszytą włóczką hamburgską. Wstawka składa się z dwóch oddzielnie robionych, a następnie nieznacznie przez środek spojonych części; próbkę połowy w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 6, gdzie wskazane są także dokładnie rodzaje ściegów do haftu włóczką różnokolorową. Deseń i sposób przekładania klocków z nićmi, załączamy na fig. 81 i 82. Środkowe figury we wstawce i koronce wyszyte były po brzegach ściegiem krzyżowanym i dwoma jaśniejszemi oliwkowo-zielonemi cieniami, małe ząbki w koronce kolorem ciemno-zielonym i blado-czerwonym; duże półkola z liści i liście w dużych ażurowych kwadratach wstawki, dwoma cieniami niebieskiemi, dalej użyte były dwa cienie bronzowego i dwa łososiowego koloru. Pomiędzy wstawką a brzeżną koronką dany pasek kanwy, szerokości wskazanej na ryc. 6, na którym szlaczek prosty wyszyty ściegiem krzyżowanym kolorami oliwkowemi, a listki ściegiem łańcuszkowym i długim, cieniami niebieskiemi i łososiowemi; takiż szlaczek wyszyty nad wstawką na tle serwety.

N. 7—8. Suknia z vêtement à panier, dla panienki lat 12—14. Krój N. VIII, fig. 68—73.

Na fig. 68—72 dajemy w naturalnej wielkości formę podszewki stanika. z baskiną dłuższą z przodu a krótszą z tyłu, a na małym modelu fig. 68a—70a; załączone miary uczą ile i w jaki sposób przedłużyć u dołu i dodać na przemarszczenie przodów, krając vêtement ze zwierzchniego materyału. Krzyżyki i punkta oznaczają miejsce i ilość fałd, których układ z przodu i z tyłu widoczny jest na ryc. 7 i 8. Do zapięcia przodów na guziki dodana 4 cent. szeroka oddzielna kontrafałda z dziurkami. Fig. 71 daje formę gładkiej podszewki rękawów; na przemarszczanie dodaje się przy zwierzchnim materyale w górze 6, u dołu



N. 1—2. Suknie krótkie balowe.

N. 1. Suknia z bawetowym stanikiem. N. 2. Suknia ze stanikiem do paska.

10 cent. szerokości. Na fig. 73 załączamy miary spódnicy, którą zdobić może garnirunek wskazany na r. 7 lub 8.

N. 9—11. Szlak robiony ściegiem przedzielanym, plecionym.

Ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę i deseń do ściegu plecionego, robionego w dwa w środku schodzące się rzędy. Próbkę powiększoną samego ściegu dajemy na ryc. 9, a próbkę zakończoną z brzegów ściegami pojedyńczemi, jednakowemi na obie strony na r. 10. Haft robi się na płótnie rzadkiem grubawem, filozelą kolorową; ilość nitek filozeli wypróbować trzeba podług grubości i gęstości płótna. Ściegi dają się skośnie w odstępie 3 nitek, na 6 nitkach wysokości a 3 szerokości. Dla urozmaicenia roboty można zmieniać kierunek ściegów, dając takowe w części deseniu poprzecznie, w innej części podłużnie, jak to widzimy na ryc. 11. Na modelu ściegi plecione robione były filozelą ponsową, a obwódka filozelą szmaragdową na tle płóciennem żółtawem. Przy zaczęciu i końcu rzędów daje się dla dopełnienia ściegi krótkie.

N. 12—22. Serweta ozdobiona haftem gobelinowym, ściegiem nawijanym i kratkami ażurowemi.

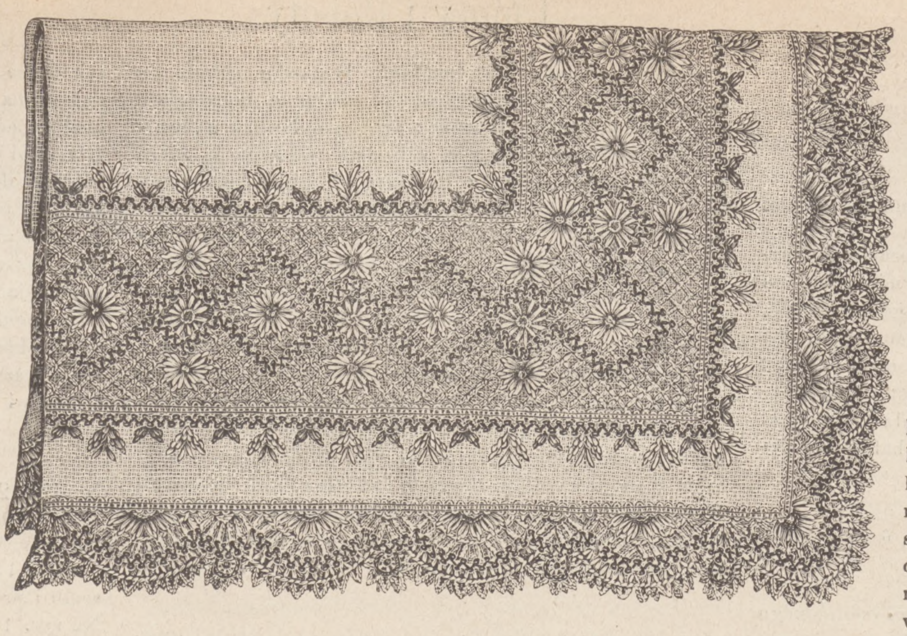
Ryc. 13 przedstawia w naturalnej wielkości część deseniu i próbkę pięknego haftu, wziętą z dawnych wzorów. Na ryc. 12 widzimy w zmniejszeniu całą serwetę, robioną na cienkiem białem niezbyt gęstem płótnie, z brzegów oszytą 5 cent. szeroką koronką nicianą. Model miał 194 cent. długości a 73 szerokości. Prześlicznie i okazale przedstawia się haft robiony jedwabiem żółtawym, obok cienkich koronkę naśladujących kratek ażurowych wyciąganych w płótnie, których próbki powiększone dajemy na ryc. 14 i 15. Takie hafty i kratki wyrabiane były w klasztorach włoskich jeszcze w wieku XV i XVI; wykonane na cienkiem płótnie są nader zmudne i trudne, to też śmiemy je polecać jedynie na końce do krawatek lub t. p. przedmiotów. Ryc. 16—22 przedstawia próbki podobnej roboty na tak zwanem płótnie przetakowem, którego rzadkość znacznie ułatwia wykonanie. Do roboty używa się filozeli żółtawej dwunitkowej, a próbki od ryc. 17—19 pouczają sposobu wykonania ściegów zakręcanych, ryc. 20 i 21 ściegów ażurowych, a ryc. 22 dokładnie wskazuje jak wkładać igłę i okręcać na niej nitkę w ściegu nawijanym. Robotę najlepiej zacząć od kratki dolnej, której próbkę podajemy na ryc. 14, następnie wyhaftować szlak dolny ściegiem gobelinowym i przezroczystym wskazanym na ryc. 20, potem dopiero wyciągnąć nitki na kratkę szeroką, w której z brzegów powtarza się dwa razy kratka dolna, a w środku daje się kratkę wskazaną na r. 15. Próżne kwadraty takowej zapełnia kratka koronkowa, zaczęta od pięciu węzłów w każdej stronie kwadratu; a w następnych obrobieniach zmniejszana stopniowo do jednego węzła. Kratki robić trzeba mocnemi niezbyt cienkiemi nićmi białemi; na probce ryc. 14 tylko dla dokładnego odznaczenia ściegów użyta nitka kolorowa. Na kratkę środkową ret cella zwaną, wyciąga się wzdłuż 22 nitki, umacnia brzegi sposobem wskazanym, a potem w odstępie 16 nitek poprzecznych wycina się kwadraty z 32 nitek. Nad kratkami na tle serwety haftuje się w równych odstępach z brzegów podłużnych mniejsze skośne gałązki, z których jedną przedstawia r. 16, a z brzegów poprzecznych większe podane na ryc. 13. Do haftu wszędzie używa się jedwabiu lub dwunitkowej filozeli żółtawej. W hafcie nawijanym, stosownie do długości listków, zarzuca się więcej lub mniej razy nitkę na igłę, przy zaczęciu listka trzeba nitkę wyciągnąć w górę, włożyć igłę od spodu na wierzch, włożyć igłę od góry na dół, okręcić nitkę na igłę, przytrzymać palcem i przeciągnąć nitkę w górę przez okręcenie; nakoniec dać ścieg z góry na dół z lewej strony, wyjmując igłę u dołu przy następnym listku lub prążce. Próbka 17—19 poucza innego ściegu okręcanego.

N. 23. Suknia z wyciętym stanikiem. Krój N. I, fig. 1—7.

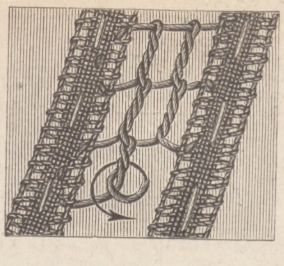
Do spódnicy z tiulu haftowanego w kwiatki, dodany był stanik z atłasu białego i ciemno-ponsowego, z tyłu sznurowany, z przodu ozdobiony przemarszczanym plastronem bawetowym, które najpierw naszywa się na gładko dopasowanej podszewce, a następnie zwierzchnie części przodów trochę poszerzone w krajaniu, przemarszcza się sposobem wskazanym na r. 23 i przyszywa z brzegu plastronu szwem odwracanym. Na fig. 6—7 dajemy formę ranwersów pokrytych fałdowanym tiulem, które przypinają się na ramionach kokardą i bukiecikiem



N. 3. Tło na drutach do kaftanika ryc. 46 w N-rze 7.



N. 5. Serweta zdobna szlakiem z koronki nicianej wyszywanej. Patrz ryc. 6 i fig. 81—82.



N. 4. Wykonanie ściegu koronkowego. do ryc. 3 w N-rze 7.



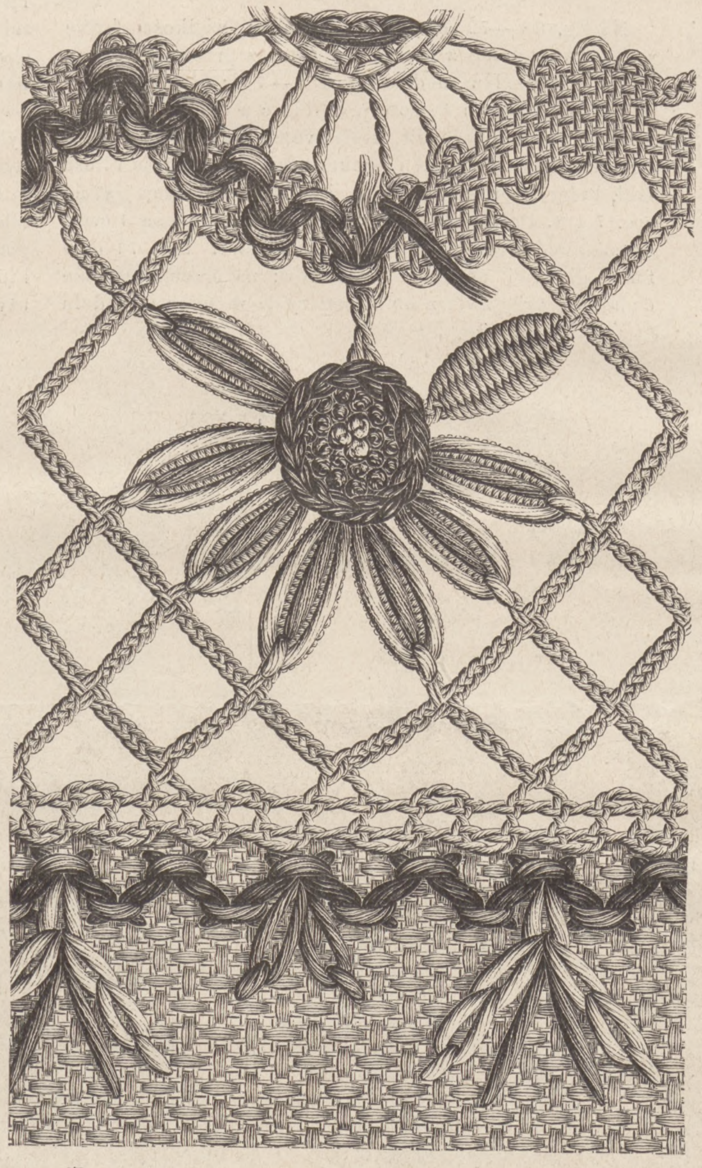
N. 7. Suknia z vêtement dla młodej panienki. Patrz ryc. 8. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 68—73.

N. 24—25. Suknia ze stanikiem z panier. Krój N. X, fig. 48-57.

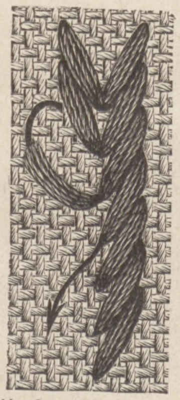
Ryc. 24 i 25 przedstawia z przodu i z tyłu zgrabny stanik w połączeniu z panier, do którego model sukni odrobiony był z aksamitu i atłasu. Spódnica może być gładka tylko u dołu ogarnirowana, albo też czdobiona draperyą lub garnirunkiem podanym na ryc. 26 i 27 w N. 6 Tygodnika Mód. Oprócz formy plecków podanej w naturalnej wielkości na fig. 53, podajemy jeszcze mały model takowych na fig. 53a, gdzie miejsce fałd oznaczone jest punktami i krzyżykami; boczne brzegi od dwukropka do dwukropka składają się w duży pukiel, poniżej którego układa się pukiel drugi, do którego dodaje się brzeg dolny, aż do gwiazdki sfałdowany. Przody stanika składają się z kamizelki, atłasowych części panier i z części kaftanikowych na kamizelkę zachodzących, których zbywająca obszerność jest od gwiazdki do dwukropka, przymarszczona sposobem wskazanym na ryc. 24. Na fig. 54 dajemy formę podszewki pod rękawy, na której w górze w miejscu linijką oznaczonem, naszywa się bufkę przykrojoną podług figury 56. Wierzch rękawów kraje się o tyle dłużej żeby wystarczyło na dwie fałdy, przykrywające przyszycie bufki; na fig. 55 jest forma połowy mankieta dopełniającego długość rękawa, któren przy szwie wewnętrznym jest podług krzyżyków i punktów w dwie fałdy założony i kokardą przypięty. W bardzo bufiastem panier, przykrojonem podług fig. 52, materya w górnym i dłuższym bocznym brzegu iść powinna prosto, brzeg górny przymarszczony przyszywa się do stanika od G do F, brzeg dolny skośny do 13 c. sfałdowany, stanowi brzeg boczny, któren jeden z drugim na tasiemki związany, podchodzi pod baskinę pleców, a patki na guzik zapięte przyszyte od spodu, utrzymują fałdy i nie dozwalają się rozrzucać. Skosy materyi sfałdowane wzdłuż i pod kaftaniczkowemi częściami przodów przyszyte, przechodzą z brzegów kamizelki do dołu, gdzie są kokardą złączone. Kołnierz stojący przykrojony podwójnie podług fig. 57, obejmuje się z brzegów wypustką i poddaje się w środek druciki dla utrzymania formy. Kokardy ze wstążki 4 cent. szerokiej.



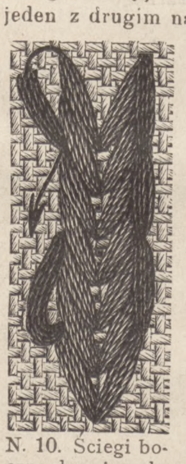
N. 8. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 7 Krój na arkuszu N. XIII, fig. 68—73.



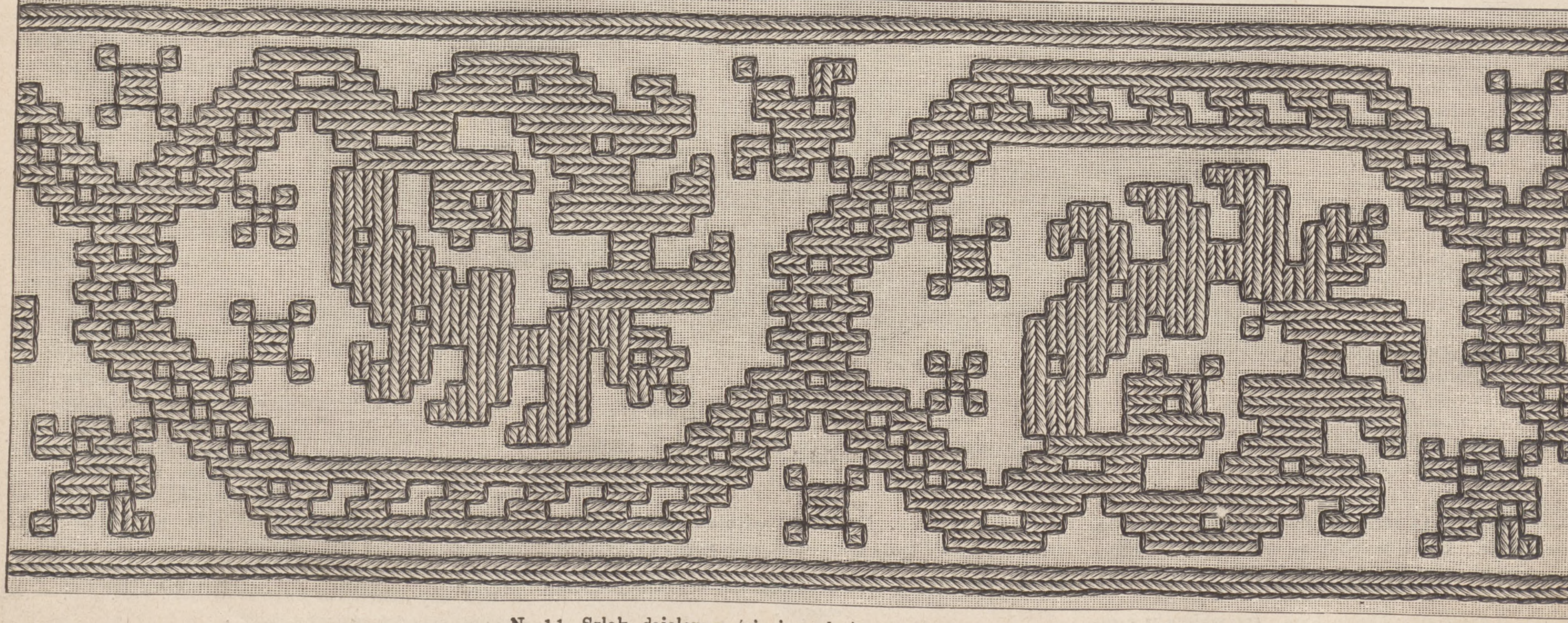
N. 6. Połowa wszywki nicianej wyszywanej do ryc. 5.



N. 9. Wyszycie ściegu przedzielanego do ryc 11.



N. 10. Ściegi boczne brzeżne do ryc. 9 i 11.



N. 11. Szlak dzielonym ściegiem plecionym. Patrz ryc. 9—10.

N. 26. Koronka haftem „Richelieu”.

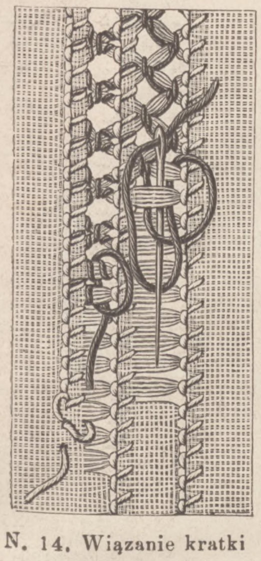
Koronkę służącą do sukien, chusteczek, krawatów i t. p., robić można na cienkiem białem lub żółtawem płótnie, bawełną lub jedwabiem białym albo kolorowym, ściegiem dzierganym. Pikoty z węzełkami robi się razem przy dzierganiu.

N. 27. Kapelusz „Cabriolet” dla młodych dam

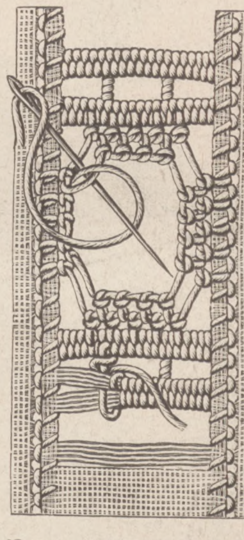
Model miał wierzch i pod-



N. 13. Szlak ściegiem gobelinowym i kratka ażurowa do ryc. 12. Patrz ryc. 14—22.



N. 14. Wiązanie kratki ażurowej, do szlaku ryc. 13.

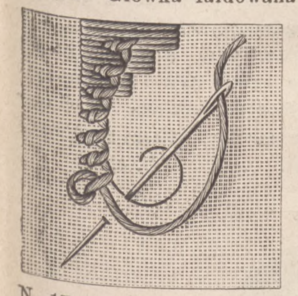


N. 15. Wiązanie kwadratów ażurowych do ryc. 13.

szewkę z aksamitu bordo gładko przylegającego, tylko z tyłu rondka w małe fałdki gdzieniegdzie zaszytego. Ubranie stanowiła wstążka morowa oliwkowa do cieniu 8 cent. szeroka i pęk piór oliwkowych strusich.

N. 28—29. Kapotka aksamitna dla dam w podeszłym wieku.

Trochę zgięte nad czołem rondo czarnego aksamitnego kapelusza, pokryte jest z wierzchu i od spodu skosem aksamitu, w odstępie 3 c. od brzegu ronda, przemarszczonego z wierzchu i od spodu. Główka fałdowana zakończona karczkiem marszczonym 8 cent. szerokim, z nagłówkiem 3 cent. szerokim. Ubranie z jednego boku stanowi 8 cent. szeroka hiszpańska koronka do główki obrócona i duże strusie pióro, z drugiego pukle ze wstążki w atłasie 3 cent. szerokiej, upinane między koronką. Do związania służy wstążka w atłasie, a barbki z czarnego jedwabnego tiulu, oszyte koronką 8 cent. szeroką, są luźno przerzucone pod brodą. Rondo do twarzy suto podgarnirowane riuszą z białego jedwabnego tiulu.



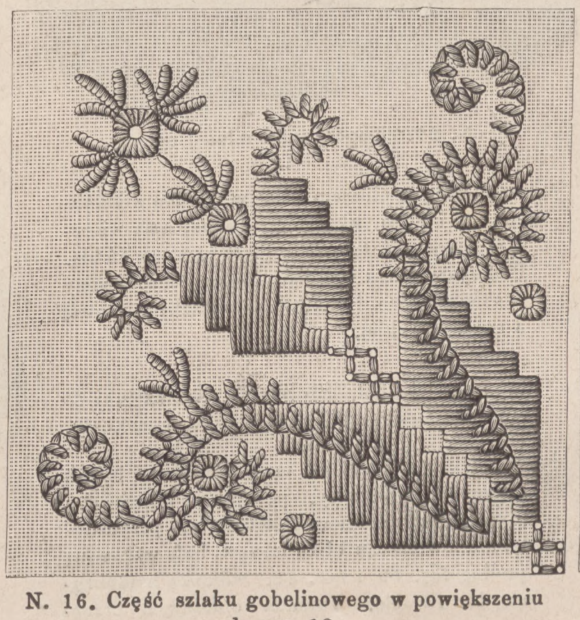
N. 17. Włożenie igły na pierwszy ścieg kręcony do ryc. 13.



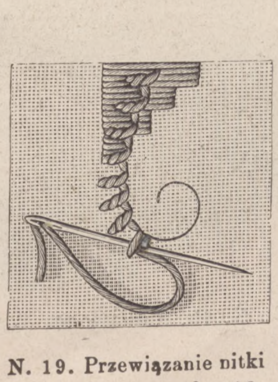
N. 18. Włożenie igły na drugi ścieg kręcony do ryc. 13.



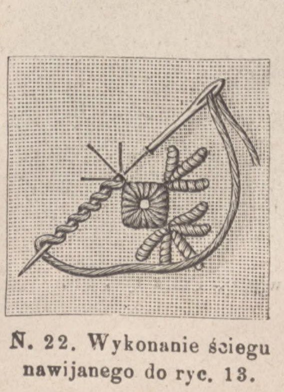
N. 12. Serweta ze szlakiem gobelinowym i kratką ażurową. Patrz r. 13—22.



N. 16. Część szlaku gobelinowego w powiększeniu do ryc. 13.



N. 19. Przewiązanie nitki w ściegu kręconym do r. 13.



N. 22. Wykonanie ściegu nawijanego do ryc. 13.

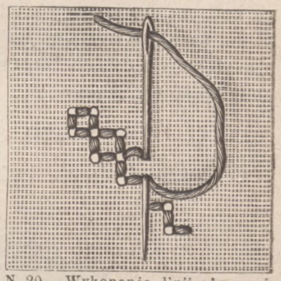
Opis do N-ru 7.

N. 1. Sukienka z karczkiem dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu N. V, fig. 24—27.

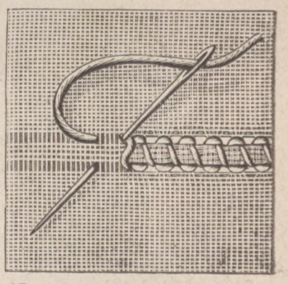
Może być odrobiona z materyału wełnianego lub do prania; różne desenie wszywek haftowanych jedwabiem na tle wełnianem lub bawełną na półbatyście, podajemy ciągle w Tygodniku. Sukienka ryc. 1 uszyta z żółtawego kaszmiru; kolorowy haft na falbance i rękawach jest 5 c., wszywka ażurowa $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka. Przody i plecy zszyte z boków, krają się podług fig. 24, u góry marszczą się do karczka podług fig. 25—26, u dołu zaś marszczą do 72 cent. i zakończają wszywką. Na długość sukienka dopełniona jest falbaną złożoną w kontrafałdy, 15 cent. szeroką, przysłoniętą wolantem 10 c. szerokim. Chcąc przyozdobić więcej sukieneczkę, można opasać ją szarfą atłasową lub morową.

N. 2 i 17. Sukieneczka z bawetowym paskiem dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu N. VI, fig. 28—33.

Może być uszyta z piki albo kaszmiru, z długiemi lub krótkiemi rękawkami; długi staniczek zakończony jest bawetowym paskiem, w który wszyta falbana zastępująca spódniczkę, 17 cent. szeroka 183 długa. Przody są tak dopasowane, aby tylko dochodziły brzegami do siebie, mają obrobione dziurki i sznurują się jedwabnym sznurem z kwastami; przy lewym brzegu dana jest od spodu listewka zachodząca pod dziurki. Fig. 32 daje formę długiego rękawka, krotki może być zrobiony z falbanki haftowanej jak na ryc. 17. Mankiety, kołnierz i pasek objęte wypustką ze sznureczkiem, obszywają się koronką przy sukieneczce wełnianej, a haftowaną falbaneczką przy pikowej. Szarfa atłasowa 16 cent. szeroka, jaką widzimy na ryc. 2, może być zastąpiona kokardą przyszytą u dołu pleców.



N. 20. Wykonanie linii ażurowej do ryc. 13.



N. 21. Wykonanie brzeżku ażurowego do ryc. 13.

N. 3. Kołnierz szeroki koronkowy. Deseń fig. 39 na arkuszu. Patrz ryc. 4 w N-rze 5.

Kołnierz taki stanowiący bardzo strojne ubranie, może być odrobiony z białej koronkowej tasiemeczki i nici, lub z czarnego jedwabiu i tasiemeczki. Dla przyozdobienia można brzegiem tasiemeczki naszyć złoty sznureczek; fig. 30 daje połowę kołnierza i wskazuje zaczęcie robo-

ty opisywanej już wielokrotnie. Ryc. 4 w N. 5 wskazuje przewiązywanie kratki łączącej dwa rzędy tasiemeczki; brzegi kołnierza oszyte są pikotami.

N. 4—6. Modne bižuterye.

Ryc. 4 przedstawia broszkę srebrną w formie muszli, wewnątrz której widzimy muchę zmierzającą ku perle;



N. 24. Stanik à panier. Patrz ryc. 25. Krój na arkuszu N. X, fig. 48—57.

bransoleta srebrna w kształcie podkowy złączonej łańcuszkiem, na którym zawieszony medaljon otwierany, może być odrobiona ze złota lub innego metalu. Na ryc. 6 dajemy naszyjnik złożony z dwóch bransolet, bardzo praktyczny z powodu podwójnego zastosowania.

N. 9—10. Kapelusz pluszowy.

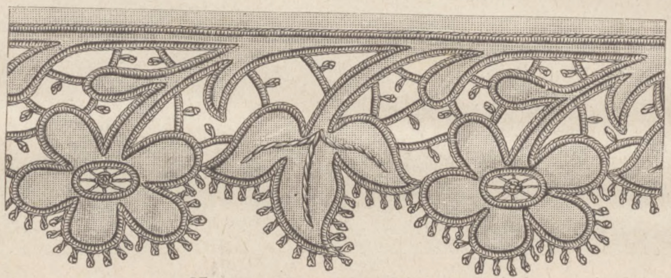
Odpowiedni dla młodych mężatek, pokryty jest zielonym



N. 28. Kapotka dla osoby w wieku. Patrz ryc. 29.



N. 23. Stanik wycięty do sukni balowej. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.



N. 26. Koronka „Richelieu".



N. 27. Kapotka dla młodej osoby.

cieniowanym pluszem, danym gładko z wierzchu szerokiego wygiętego ronda, a na wierzchu główki założonym w głęboką kontrafałdę. Podszycie ronda stanowi piaskowy marszczony aksamit; końce i kokarda z wstążki atlasowej 4 cent. szerokiej.

N. 11—12 i 49. Stoliczek pod książki do czytania. Deseń haftu patrz fig. 79 na arkuszu.

Nóżki stoliczka 67 cent. wysokie i blacik liczący 36 c. średnicy, pokryte są aksamitem, pluszem lub suknem kolorowem; przyozdobienie z wierzchu blatu stanowi haft wykonany podług fig. 79 i ryc. 49, włóczką hamburgską lub filozelą. Torsada otaczająca brzegi stoliczka wskazana w naturalnej wielkości na ryc. 12, zaczyna się od łańcuszka do którego przyrobione sześć rzędów ząbków z oczek powietrznych, na wierzchu zaś dodane są trzy jaśniejsze rzędy i kuleczki. U dołu torsady frendzelka z kwaścików.

N. 14. Kosz do papierów. Deseń haftu płaskiego patrz fig. 80.

Kosz 36 cent. wysoki, w gorze mający średnicy 36 c.



N. 25. Stanik à panier. Patrz ryc. 24. Krój na arkuszu N. X, fig. 48—57.

u dołu 29, pleciony jest z trzciny i cały przykryty z wierzchu filcem oliwkowym, w środku marszczonym atłasem; górny obwód koszyczka obłożony jest bronzowym filcem. Fig. 80 daje połowę deseniu powtórzonego cztery razy i odrobionego włóczką hamburgską, ściegiem płaskim, kolorem oliwkowo-bronzowym i ponsowym. Odstępy między haftem zapełnione strzyżonemi kulkami i kwaścikami. *(D. c. n.)*



N. 29. Kapotka dla osoby w wieku. Patrz ryc. 28.



Pl. 484.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.